W numerze: Judym zmarł – niech żyje Judym! • Zwierzenia archeologa • Na pięć przed dwunastą • Autoportret • Bohater • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

Nr 38 (354)
26. IX. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

FELIKS BĄBOL

DWA ZERO DLA PASAŻERA

Fachowcy obliczyli, że są takie godziny w ciągu dnia, gdy na jeden metr kwadratowy powierzchni tramwaju w Łodzi przypada ośmiu pasażerów. Ta statystyka tramwajowa jest odbiciem sytuacji łodzianina, korzystającego z tzw. masowych środków komunikacji w roku 1965. W godzinach szczytu obserwowaliśmy na pewnych przystankach, że w ciągu pięciu minut gromadzi się na raz osiemdziesięciu kilku pasażerów, czekających na tramwaj.

W ciągu dnia nieraz na Gdańskiej, czy na Kilińskiego wystarczy mały korek komunikacyjny, aby nagle wysiadły wszystkie grafiki ruchu tramwajowego, na ulicach tych bowiem tory nie są wydzielone, a ruch samochodowy i motocyklowy, wozy konne, ciężarówki zaopatrujące w towar i surowce sklepy i fabryki próbują tu przez cała dobę walczyć o pierwszeństwo, jako że są to ulice wąskie i piekielnie zatłoczone.

Ale te godziny szczytu nie stwarzają piekła komunikacyjnego jedynie w godzinach porannych, jak to się dzieje w Warszawie, czy w innych miastach, posiadających tramwaje. Nasz szczyt tramwajowy trwa 740-tysięczne miasto kilka razy dziennie, bo to miasto wyjątkowe, w którym szczytów, z uwagi na wielozmianowy system pracy przemysłu, jest kilka, a jeden bardziej uciążliwy od drugiego.

Gdy zaś na wąskich arteriach tramwajowych powstanie korek, ludzie klną na przystankach w żywe oczy gdyż po pół godziny stania na deszczu czy mrozie rusza raptem swawolne stado tramwajów, doprowadzając pasażerów do szewskiej pasji. Ale rozszerzyć owych wąskich ulic po to, aby ruch tramwajowy i pozostały ruch kołowy, mogły odbywać się niezależnie, miasto nie było w stanie, impreza to bowiem godna Krezusa. Bo któż zdecydowałby się na wyburzenie setek domów mieszkalnych w sytuacji, gdy nawet rozbiórka jednej–dwóch posesji, podjęta dla poszerzenia niebezpiecznego skrzyżowania, wywołuje wśród czekających na nowe mieszkania głosy protestu i oburzenia? Więc na tych ulicach tłok tramwajowo-komunikacyjny jest nie do opisania, a szybkość pojazdów miejskich najniższa w Polsce.

Tłoczymy się w tramwajach i autobusach również dlatego, że rozwój komunikacji, podobnie jak kanalizacja i wodociągi czy sieć gazowa, wloką się w ogonie budownictwa, gdyż nie jesteśmy nową stolicą Brazylii, w której przed stawianiem fundamentów pod domy mieszkalne, urzędy i ministerstwa najpierw teren uzbrojono, wyposażono w ciągi komunikacyjne i inne nowoczesne rozwiązania techniczne, służące człowiekowi. **Komunikacja u nas dogania zaledwie budownictwo, wystarczyło zaś, że w ostatnich kilku latach mieliśmy znaczne sukcesy w budownictwie mieszkaniowym i wielki przyrost nowych domów i osiedli, aby problem komunikacyjny stał się jeszcze bardziej nękający.**

Ostatnie większe przydziały nowych wagonów tramwajowych i autobusów miasto nasze otrzymało w latach 1959–62, co poprawiło sytuację dosłownie na jeden moment, w okresie bowiem od 1962 do 1965 r. nie otrzymaliśmy prawie nic, co z miejsca tę sytuację pogorszyło. I to nie tylko sytuację tych dziesiątków tysięcy ludzi, którzy otrzymali nowe dachy nad głową na odległych peryferiach, ale i całej reszty mieszkańców. Nagle tysiące ludzi, którzy dotychczas z pracy do domu mieli dwa–trzy przystanki, blokuje w związku ze zmianą adresu tramwaje i autobusy **przez cała długość linii.**

Sytuację w Łodzi pogarsza i to, że w

Dalszy ciąg na str. 3

JAN BĄBIŃSKI

TURYSTYKA NA CENZURO WANYM

Węgrzy są nie tylko sportową potęgą świata. Ten mały naród podróżuje jak żaden inny w obozie państw socjalistycznych. Węgrów spotkacie wszędzie. Weseli, radośni, gwarni kręcą się po Wiedniu, Berlinie, Warszawie i Pradze. Są ogarnięci pasją życia i godną zazdrości energią. Węgry jako kraj liczą tylko 10 milionów ludności. A jednak przeszło milion Węgrów wyjechało w tym roku za granicę. Sprzężenie zwrotne daje się również zauważyć.

W zeszłym roku sam Budapeszt odwiedziło prawie półtora miliona gości ze Wschodu i Zachodu. W tym wyjątkowo sympatycznym kraju, turystyka jest potężną gałęzią gospodarki narodowej. To już wielki przemysł, traktowany na równi z innymi rodzajami przemysłu. Pewnie, że ruch turystyczny zdobywa grunt także nad Wisłą. Ze statystyką trzeba jednak ostrożnie. Wtajemniczeni przestrzegają. Słychać, że „zagranicznik", który zahaczył w swym wojażu o Kraków, Wrocław, Warszawę, w każdym z tych miast jest statystycznie ujmowany z osobna. Słowem cudowne rozmnożenie, jak w Kanie Galilejskiej...

Dziś podróżują wszyscy, i ci z pensją kilkudziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie i zwykłe urzędniczki z Goeteborgu. Dwie takie przemiłe, swobodne, bardzo bezpośrednie Szwedki spotkałem na Ostbahnhof w Berlinie. Wsiadały do wagonu sypialnego „Wars". Wybierały się na kilka dni do Polski. Widziały film o Warszawie. Były wstrząśnięte, także zaciekawione. Czy Warszawa naprawdę tak wygląda, jak na filmie? Czy powstała z samych zgliszcz i ruin? To musi być coś niezwykłego mieszkać w takim mieście.

Jakże więc z tą polską turystyką? Czy skoczyliśmy w wezbrane fale międzynarodowe, czy daliśmy się im ponieść?

Skoczyć można, tylko że bez rynsztunku to rzecz ryzykowna. Hotele, restauracje, motele, warsztaty, stacje benzynowe, par-

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

Wśród różnorodnych miar, jakimi można posługiwać się w celu określenia rangi paryskich rozmów premiera Cyrankiewicza, wymienić trzeba niewątpliwie i tę: jeszcze w kilka dni po zakończeniu wizyty pozostawała ona w centrum politycznych komentarzy, a w Niemczech zachodnich — także dyskusji.

Z rezultatów wizyty — podkreślili to i prem. Cyrankiewicz i prez. de Gaulle — obie rozmawiające strony wyraziły zadowolenie. Nie są natomiast zadowolone: Bonn i „Waszyngton. Można „pogratulować" oficjalnym kołom Stanów Zjednoczonych tej jednomyślności z odwetowcami zachodnioniemieckimi, chociaż doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego serdeczne przyjęcie, jakie Francja zgotowała polskiemu premierowi, wywołało wściekłość za oceanem. Czyżby była to forma solidarności ze swoim europejskim pupilkiem?

Jeszcze nie wygasły echa dialogu polsko-francuskiego, a znów Polska wymieniana jest w licznych komentarzach. Tym razem z powodu rozmów, jakie przeprowadził w Warszawie brytyjski minister spraw zagranicznych — Stewart. Zdaniem komentatorów i zgodnie z zapowiedzią Stewarta na lotnisku (znów piszę przed opublikowaniem oficjalnej informacji o rozmowach) — głównymi tematami wymiany poglądów były: rozbrojenie i bezpieczeństwo europejskie oraz problem Wietnamu.

Oczywiście, i w pierwszym i drugim wypadku niemało miejsca zajął rozwój stosunków bilateralnych.

Spotkania naszych mężów stanu z politykami Francji i W. Brytanii oceniane są w Europie jako ważne ogniwa obszernego programu wizyt, ustalonego przez Warszawę, którego następnym punktem był wyjazd prem. Cyrankiewicza do Wiednia.

Ta intensywna działalność dyplomatyczna — podkreślają dzienniki zachodnie — stawia Polskę w rzędzie najaktywniejszych krajów u progu tegorocznego sezonu.

Cieszymy się z tej opinii i jesteśmy przekonani, że również tą drogą przyczynimy się do wyjaśnienia i zbliżenia stanowisk w wielu aktualnych problemach.

A o tym jak jest ich dużo, niech świadczy chociażby porządek dzienny rozpoczętej we wtorek jubileuszowej, bo dwudziestej, sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Porządek ten składa się ze 107 punktów, co jest absolutnym rekordem, jako że żadna z dotychczasowych nie przekroczyła setki. Jakkolwiek niektóre z tych punktów mają charakter czysto formalny — zapowiada się, że bieżąca sesja będzie bardzo pracowita.

Prognozy — po XIX sesji, sparaliżowanej kryzysem na tle finansowym — są dość optymistyczne. Panuje przekonanie, że „przebiegać ona będzie w sposób konstruktywny i oparty na zasadach współistnienia".

Pewną atrakcją w czasie jej trwania ma być zapowiadany przez niektóre agencje przyjazd do Nowego Jorku na zaproszenie U Thanta papieża — Pawła VI.

Na czoło tematyki politycznej sesji wysuwa się niewątpliwie kwestia rozbrojenia. Podstawą do jej podjęcia będzie m. in. 4-stronicowe sprawozdanie genewskiej konferencji rozbrojeniowej, przyjęte jednomyślnie na 234 jej posiedzeniu.

Sprawozdanie to koncentruje uwagę na rozszerzeniu układu moskiewskiego także na eksplozje podziemne oraz nierozpowszechnianiu broni nuklearnej.

Stwierdza ono, że w Genewie osiągnięto „szczególny postęp w wyjaśnieniu stanowisk poszczególnych rządów, który może ułatwić porozumienie...".

Pomyślne przewidywania co do przebiegu sesji Zgromadzenia Ogólnego w chwili, gdy płomienie prawdziwej wojny obejmują połacie półwyspów Indochińskiego i Indyjskiego, mogą mieć swe uzasadnienie tylko w przekonaniu, że trwające konflikty nie będą przybierać większych rozmiarów i że wcześniej, czy później znajdzie się platforma negocjowania.

Niestety, dotychczas nic nie zapowiada, że nastąpi to w najbliższej przyszłości. Na razie rozwój wydarzeń w Wietnamie i Kaszmirze słusznie napawa świat troską i niepokojem. I nie ma z pewnością przesady w stwierdzeniu, że aktualnie Azja znajduje się w samym centrum zainteresowania.

* * *

W niedzielę odbyły się wybory do Bundestagu. Jeśli kampania wyborcza śledzona była z uwagą, o tyle jej wyniku oczekiwano z dużo mniejszym napięciem. Po prostu różnice między głównymi rywalami: CDU i SPD nie są tak duże, by miały wpłynąć w widoczny sposób na politykę NRF. Zwłaszcza zagraniczną. Przebieg dyskusji przedwyborczej wykazał, że obie partie trzymają się kurczowo nierealistycznej polityki i żyją złudzeniami. Jeśli jednak CDU odrzuca możliwość nawet najmniejszego rewidowania dotychczasowej linii, SPD gotowa jest nieco „zmiękczyć" obecny kurs i prowadzić aktywniejszą politykę wobec Wschodu.

Wstępne wyniki wyborów wykazały, że CDU/CSU dysponować będzie w Bundestagu najprawdopodobniej 245 mandatami, podczas gdy SPD — 202. Chrześcijańska demokracja nie ma więc zapewnionej absolutnej większości i — jak zapowiedział Erhard — kontynuować będzie koalicję z FDP. Warto jednak podkreślić, że koalicja ta — na skutek utraty przez FDP znacznej liczby głosów — w sumie mieć będzie 294 mandaty, a więc o 15 mniej niż uprzednio. Jest to tym znamienniejsze, że SPD powiększyła stan posiadania o 12 mandatów. (Liczby te mogą być jeszcze nieco skorygowane).

Czy z faktu tego politycy CDU wyciągną wnioski — oczywiście trudno przewidzieć.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA 12 WRZEŚNIA

● W Jerozolimie zakończył się proces przeciwko Mordehajowi Lukowi, oskarżonemu o współpracę z wywiadem egipskim. Został on skazany na 13 lat więzienia. Sprawa Luka była bardzo głośna jesienią ubiegłego roku. To właśnie jego, w listopadzie ub. roku znaleziono na rzymskim lotnisku, ukrytego w skrzyni, opatrzonej pieczęciami egipskiej ambasady. Po uwolnieniu go przez rzymską policję, Luk udał się dobrowolnie do Izraela, aby, jak oświadczył, oczyścić się z zarzutów i oskarżeń o działalność antyizraelską. Jednakże sąd był innego zdania.

● W północnowietnamskim dzienniku „Nhan Dan" ukazał się komentarz dotyczący problemu Kaszmiru. Dziennik podkreśla, iż musi on być rozwiązany pokojowo, na zasadzie poszanowania prawa narodu Kaszmiru do samostanowienia. Atak oddziałów indyjskich na Pakistan — pisze „Nhan Dan" — jest faktycznie ściśle powiązany z amerykańskim planem wywarcia presji na Pakistan.

PONIEDZIAŁEK 13 WRZEŚNIA

● Wielkie agencje prasowe donoszą, iż po wysunięciu przez rzeczników Pakistanu i Indii całkowicie sprzecznych ze sobą warunków przerwania działań wojennych, perspektywy osiągnięcia przez U Thanta jakichś pozytywnych wyników, w toku jego obecnej misji, wydają się jeszcze bardziej nieprawdopodobne, niż poprzednio. Prezydent Indii, Radhakrishnan, powtórzył w przemówieniu radiowym warunki Indii, stwierdzając, że India wyrazi zgodę na zawarcie pokoju, jeżeli oddziały pakistańskie zostaną wycofane z Kaszmiru, zaś Rada Bezpieczeństwa zagwarantuje, iż Pakistan nie powtórzy swych aktów agresji.

WTOREK 14 WRZEŚNIA

● Kierowany przez prof. uniwersytetu nowojorskiego, dr Alfreda de Grazia, amerykański „instytut badań polityki publicznej" ogłosił zredagowaną przez zespół 13 specjalistów pracę, w której wyraża opinię, że „naród amerykański, nadając nadmierne znaczenie urzędowi i roli prezydenta, stwarza prawdziwą groźbę dyktatury". Omawiając rolę Kongresu w tej dziedzinie, wspomniany zespół naukowców dodaje, że jeżeli władza Kongresu nie będzie wzmocniona „zostanie utorowana droga do państwa demokratycznego oraz do czegoś w rodzaju rządu monarchicznego".

● „Prawda" zamieściła obszerny artykuł redaktora naczelnego pisma, A. Rumiancewa, pt. „O partyjności twórczej pracy inteligencji radzieckiej". Autor porusza w artykule takie m. in. zagadnienia jak: doniosła rola radzieckiej nauki i sztuki w tworzeniu nowego społeczeństwa, społeczne zaangażowanie sztuki, aktywna postawa twórcy, zagadnienia pojmowania realizmu socjalistycznego, partyjność sztuki i inne.

● Szczegóły spisku organizacji „Braci Muzułmańskich" zajmują czołowe miejsca w dziennikach kairskich. Co dzień cała prasa przynosi moc detali na temat planów organizacji, fotografii jej głównych liderów oraz zapasów broni, amunicji, materiałów wybuchowych i butelek z materiałami palnymi. Podaje się szczegóły rekrutacji członków „Braci", finansowania całej imprezy, itp.

ŚRODA 15 WRZEŚNIA

● Ekspert wojskowy SPD, Helmut Schmidt, oświadczył w Bonn w rozmowie z dziennikarzami, że „obydwie dywizje francuskie stacjonujące w NRF, jak również francuskie siły lotnicze mogą stanowić ryzyko dla bezpieczeństwa Republiki Federalnej, jeśli nie będą znajdować się pod wspólnym dowództwem"... Schmidt podkreślił, że „należy to wreszcie jasno wypowiedzieć"...

● Odbywają się już obrady końcowej sesji XXI Soboru. Warto przypomnieć, iż obrady I Sesji Soboru rozpoczęły się w roku 1962 i od tego czasu odbyły się trzy sesje, z których każda trwała ponad dwa miesiące. Pierwszym punktem porządku dziennego, ma być kontrowersyjny dekret w sprawie wolności religii.

● Prasa amerykańska przynosi obszerniejsze komentarze wystąpienia prezydenta de Gaulle'a na konferencji prasowej w dniu 9 września. Wszystkie bez wyjątku komentarze są utrzymane w zdecydowanie negatywnym tonie, a niekiedy nawet pogardliwym. Podkreśla się w nich zwłaszcza „szkodliwość mocarstwowych złudzeń" oraz „utratę tchu"....

CZWARTEK 16 WRZEŚNIA

● Ustalono już program pobytu papieża w Nowym Jorku. Dnia 4 października po przyjeździe do N. Jorku papież zatrzyma się w rezydencji kardynała Spellmana. W południe spotka się najprawdopodobniej z prezydentem Johnsonem, o godz. 14 przybędzie do siedziby ONZ. Po oficjalnych powitaniach rozpocznie swe przemówienie które trwać będzie ok. 40 minut. Po przemówieniu papieża sesja zostanie odroczona po czym nastąpi spotkanie papieża z „niektórymi delegacjami". Przed wieczorem, papież uda się na lotnisko i odleci do Rzymu.

● Prezydent Pakistanu w toku konferencji prasowej oświadczył, iż zaprzestanie działań wojennych między Indią i Pakistanem musi być związane z honorowym rozwiązaniem problemu kaszmirskiego. Aynb Khan wysunął warunek, aby bezpośrednio po zawieszeniu działań wojennych rozlokowano na terenie Kaszmiru oddziały afro-azjatyckie pod egidą ONZ, które zapewniłyby przeprowadzenie sprawiedliwego plebiscytu w zakresie przyszłości Kaszmiru.

● Rozpoczął już obrady arabski „szczyt". Sesja inauguracyjna trwała trzy i pół godziny. Dziennikarze byli obecni tylko przy ceremonii otwarcia obrad oraz przy przemówieniach inauguracyjnych. Dalsze obrady toczyły się przy drzwiach zamkniętych. Obrady III „szczytu" arabskiego otworzył sekretarz generalny Ligi Arabskiej, po nim zaś przemawiali kolejno — król Maroka Hasan II, po nim prezydent ZRA Naser, który przewodniczy konferencji.

PIĄTEK, 17 WRZEŚNIA

● Z oświadczenia jednego z liderów SPD, Wehnera: „We francusko-polskim komunikacie nie znajduje się nawet jedno mizerne zdanie, że problemy graniczne mogą zostać uregulowane ostatecznie dopiero w traktacie pokojowym"...

Polonezomarsylianka

„Die Welt"

● W związku z wizytą premiera Cyrankiewicza we Francji, „Stuttgarter Zeitung" stwierdza m. in.: „Rzeczywistość jest taka, że te obszary (Odry—Nysy) de facto są dla nas stracone... Jeśli w ogóle jesteśmy zdenerwowani dialogiem polsko-francuskim, to w mniejszym stopniu wynika to z problemu granic, a w o wiele większym z wieloznacznych wypowiedzi na temat bezpieczeństwa europejskiego, które wykazują, jak bardzo i jak często może nam szkodzić Francja, prowadząc coraz bardziej i bardziej niezależną politykę wobec Europy wschodniej, bez uwzględniania interesów Republiki Federalnej"...

SOBOTA 18 WRZEŚNIA

● W Dżakarcie podpisano chińsko-indonezyjski protokół o współpracy obu krajów przy budowie sali konferencyjnej, w której będą obradować nowo powstające siły. Na mocy protokołu, ChRL zobowiązuje się dostarczyć, bez kompensaty i jakichkolwiek warunków, materiał budowlany i sprzęt, potrzebny do budowy sali. Na prośbę Indonezji, Chiny przyśla pewną liczbę architektów i techników.

● Związek Dziennikarzy Kubańskich wystąpił z wnioskiem do Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy o przyznanie nagrody MOD rozgłośni konstytucjonalistów dominikańskich — „Radio Santo Domingo Television". W ciągu czterech miesięcy kryzysu i interwencji obcych wojsk na Dominikanie, broniła ona z honorem prawa tego kraju do samostanowienia i niepodległości. „Rozgłośnia ta — czytamy w uzasadnieniu wniosku Zw. Dziennikarzy Kubańskich — codziennie informowała i orientowała bohaterski naród dominikański, mimo powietrznych i artyleryjskich bombardowań, które miały ją zmusić do zamilknięcia".

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JUDYM ZMARŁ — NIECH ŻYJE JUDYM!

Z przyjemnością czytuję „Sztandar Młodych". Jest to lektura istotnie odmładzająca, godna polecenia zwłaszcza tym dziennikarzom, którzy swoją pracę pisarską sprowadzają do znajomości alfabetu, po prostu zajmują się głównie wymienianiem od a do zet członków ciał prezydialnych, gromadzących się z okazji, albo ku czci. Zespół „Sztandaru Młodych" ma bystre oczy, jest i owszem w rozsądny sposób odważny, ale nie zawsze. Ostatnio uraczono nas przedziwną dyskusją na temat nauczycielki, która porzuciła swój zawód na rzecz popłatniejszego. Czyni to na ogół wielu ludzi, ja sam poszukuję lepszej pracy, ty też, poszukujesz, a on także. Znam nauczycieli, którzy zostali ministrami, a nawet świetnymi pisarzami. Są to wszakże wypadki poszczególne, tak samo rzadkie, jak i ten klinicznie analizowany przez „Sztandar". Nauczyciele znani są z przywiązania do zawodu, dlatego publiczne sądy, wywieranie publicznej presji w wypadku pojedynczym przypomina strzelanie z armaty do muchy, zwłaszcza, że nasze tygodniki społeczno-kulturalne prowadzą niezwykle interesujące ostre strzelanie i trafiają celnie w główne sprawy polskiego nauczyciela.

„Życie Literackie" ogłosiło ostatnio coś w rodzaju alarmu. Zdzisław Dudzik pisze dosłownie — „Trzeba ogłosić alarm mieszkaniowy dla nauczycieli!" Słusznie, trzeba. Proszę pomyśleć tylko, około 50 procent naszych nauczycieli to ludzie młodzi, organizują sobie życie, zakładają rodziny, proszę zwrócić uwagę na fakt na ogół niedoceniany — nauczycielom także rodzą się dzieci. Pewien przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej powiedział odrzucając podanie nauczyciela o dach nad głową — kto jest czysty na sumieniu, ten się wyśpi na kamieniu. Jak się tak dobrze zastanowić, to jednak przewodniczący nie ma racji, prawda? Przypomina się w tym miejscu znakomity artykuł Żeromskiego, z roku 1892, zatytułowany — „Odgłosy krakowskie". Żeromski pisze:

„Mnie osobiście, jako gorliwca interesów cywilizacji, zaniepokoiła najbardziej następująca, nie stwierdzona, co prawda, urzędownie pogłoska. Szeptano sobie w cukierniach na ucho, że w górach karpackich zjawiły się stada zdziczałych, pół-nagich, kudłami porośniętych nauczycieli wiejskich, że błąkają się po wierchach i dolinach, że szukają schronienia w jaskiniach oraz dziuplach drzew i trudnią się łowiectwem. Opowiadają, że śpiewają bez przerwy jakąś pieśń przypominającą nieco melodię znanej ballady: „Nie mam tego, ani tego, bo mi majster kiepsko płaci".

Oczywiście dawne to dzieje i nie sprawdzone urzędownie. Artykuły Machejka i Dudzika z „Życia Literackiego" mówią o tymże samym Podkarpaciu i stwierdzają wyraźnie, jak wiele zrobiono, aby nauczycielom pomóc. Więcej jednak zrobiliśmy dla samej szkoły, zbudowaliśmy setki nowych gmachów szkolnych, mniej jednak dla zaspokojenia potrzeb nauczycieli. Obaj autorzy stwierdzają zgodnie, że około 70 procent nauczycieli wiejskich mieszka po prostu kątem, w wynajętych pokoikach, a czynsze zjadają budżety GRN. Alarm publicystów „Życia" należy chyba uznać za słuszny. Tym więcej, że realizacja reformy szkolnej wymaga zatrudnienia 15 tysięcy nowych, młodych nauczycieli, których także trzeba urządzić.

Ze swej strony nie proponujemy alarmu, to byłoby za wielkie słowo, lecz spokojne, rzeczowe rozważenie innego problemu. W zawodzie nauczycielskim — magisteria, czy doktoraty są — oczywiście — bardzo cennymi dowodami pracy nad sobą, ale nie oznaczają, że nauczyciel-magister, czy doktor umie wszystko, co potrzeba. Realizacja reformy szkolnej wymaga od nauczyciela dalszych studiów, w grę wchodzą nowe przedmioty, nowe ich ujęcia, nowe metody dydaktyczno-wychowawcze. Tego trzeba się będzie nauczyć. A kiedy?

W województwie lubelskim, jak podał ostatnio „Głos Nauczycielski" na jednego nauczyciela przypadają dwie funkcje społeczne i to funkcje nie małe. Tak pewnie dzieje się w całym kraju. Umarł doktor Judym, jako samotnie działający apostoł, ale żyje i żyć powinien Judym zespołowy, członek aktywnej grupy społecznej. I to jest przede wszystkim nauczyciel.

W województwie łódzkim sytuacja wygląda następująco: w Komitetach FJN i radach narodowych pracuje 3.313 nauczycieli, cyfra ta obejmuje 1.112 radnych. W organizacjach dziecięcych i młodzieżowych działa 2.145 nauczycieli, w kółkach rolniczych i spółdzielniach — 1.133, w TSŚ — 1.635, w TPPR — 1.128, i tak dalej, i tak dalej, w sumie doliczyć się można prawie 11 tysięcy nauczycieli działających społecznie. Kiedyś, w czasach młodości Żeromskiego byli jedynymi działaczami społecznymi, dziś z pewnością nie są ostatnimi, lecz wciąż w czołówce ludzi bezinteresownie oddanych sprawom różnych organizacji.

No, ale co za dużo to niezdrowo. Czy rzeczywiście bywa za dużo tego dobrego? Owszem, niekiedy stanowczo za dużo. Jeżeli np. do rady nadzorczej GS Rudniki (Wieluńskie) wybiera się aż 7 nauczycieli na 15 członków, to już jest niezdrowa przesada. Znam pewnego dyrektora w Radomsku, który pełni cztery poważne funkcje społeczne, co oznacza, że musi uczestniczyć w 56 naradach rocznie. Jeden z kierowników szkół w Tomaszowie Mazowieckim pełni 6 (słownie: sześć) poważnych funkcji społecznych. Z tej właśnie przyczyny odbył w ubiegłym roku szkolnym tylko 55 hospitacji, a powinien — 320. Kiedyś powie pewnie; tak mocno tkwię w rzeczywistości, że nie wiem, co się dookoła dzieje. A zwłaszcza w szkole. W powiecie radomszczańskim przez cztery miesiące ub. roku szkolnego oderwano od pracy w szkole 169 nauczycieli na 269 dni. Nietrudno obliczyć, że przepadło wskutek tego 1.345 godzin lekcyjnych.

Władze partyjne i oświatowe województwa łódzkiego pracują już nad rozwiązaniem problemu pracy społecznej nauczyciela. Oczywiście, piękna tradycja Judyma uspołecznionego żyć musi, nie wyobrażamy sobie nauczyciela zamkniętego w szkole i on sobie takiego stanu nie wyobraża. Jeżeli jednak ten i ów pedagog składa ręce jak do modlitwy, patrzy w stronę miejscowych władz i mówi — pozwólcie mi uczyć, to znak, że mamy do czynienia ze sprawą dużej wagi. Nauczyciel mówi także — pozwólcie i mnie się uczyć. Jakże inaczej zrealizujemy nowe zadania, które niesie ze sobą reforma szkolna?

DWA ZERO DLA PASAŻERA

Dalszy ciąg ze str. 1

wyniku historycznie złej zabudowy, **większość ruchu odbywa się po osi północ—południe, przeciążając ją komunikacyjnie.** Nowe osiedla i plany urbanistów starają się w ostatnich latach poprawić to nieszczególne ukształtowanie, wychodząc na zachód i wschód miasta, nadążyć jednak za nowymi osiedlami, sięgającymi już niemal granic Wielkiej Łodzi, nie tak łatwo budowniczym linii tramwajowych i autobusowych. Zresztą ten problem komunikacyjny potęgowany przez wielkie skupiska mieszkańców nowych dzielnic i osiedli, jeżdżących całymi kilometrami z domu do pracy i z powrotem, czy z domu do „miasta" — próbowano już łagodzić. W Warszawie starano się np. zrealizować eksperyment z przeprowadzką całych wielotysięcznych załóg do domów w pobliżu zakładów pracy, starano się jednak bezskutecznie. Za skomplikowana to operacja, za trudna do rozwiązania.

* * *

Ale dobrze jest pocieszyć się losem innych ludzi, który może jest jeszcze gorszy. Z danych, ujawnionych przez inżynierów-specjalistów miejskiej komunikacji wynika, **że sytuacja przeciętnego łodzianina korzystającego ze środków masowego przewozu nie ze wszystkim jest jeszcze najgorsza.** Na korzyść łodzianina jest cały szereg tzw. wskaźników.

W Łodzi na przykład każdy mieszkaniec tłoczy się w wagonach i autobusach tylko 619 razy rocznie, podczas gdy mieszkaniec stolicy aż 1165 razy — taki jest bowiem wskaźnik tzw. ruchliwości mieszkańców w tych miastach. Częściej od łodzianina tłoczy się w tramwajach i autobusach każdy mieszkaniec Poznania (684 przejazdy rocznie), Krakowa (658), czy nawet Budapesztu (685). W Łodzi, w czasie rannego szczytu, w ciągu godziny korzysta z komunikacji miejskiej 8,5 tys. pasażerów, a w Warszawie 15,5 tys., dla porównania — w Krakowie tylko 6,3 tys., we Wrocławiu — 6,2 tys., w Szczecinie — 3,3 tys.

Na korzyść miasta należy zapisać i gęstość sieci na 1 km kw. powierzchni miasta, co w pewnym stopniu może dać nam obraz poziomu organizacyjnego miejskiej komunikacji. **Otóż w Łodzi sieć tramwajowo-autobusowa jest najgęstsza i wyraża się wskaźnikiem 1,11 km linii komunikacyjnej na km kw.**, gdy w Warszawie jest ich tylko 1,05, w Krakowie 0,87, Poznaniu 1,0, a w Szczecinie tylko 0,54 km na km kw. powierzchni. **Dodajmy do tego wskaźnik wykorzystania taboru, czyli liczbę pasażerów na jeden wagon rocznie.** Najwyższy jest znowu w Warszawie — 1.060 tys. pasażerów, potem w Krakowie — 855 tys., w Poznaniu — 840 tys., a mniejsze wykorzystanie jednego wagonu niż Łódź (573 tys.) ma tylko Wrocław i Szczecin. Bardziej niż w Łodzi wykorzystane również są autobusy w takich miastach jak Warszawa (662 tys. pasażerów rocznie na jeden wóz), Szczecin (335 tys.), Wrocław (333 tys.), Kraków (306 tys.). Luźniej jest tylko w autobusach poznańskich (217 tys. pasażerów, w Łodzi — 300 tys. pasażerów rocznie na 1 autobus).

Można też rozpatrywać sytuację pasażera od strony wielkości taboru, jakim miasto dysponuje. Pod tym względem sytuacja łodzianina bliska jest sytuacji mieszkańca Moskwy, w której na każdy tysiąc mieszkańców przypada 1.33 wagonów tramwajowych i autobusów (w Łodzi — 1,26), jest nieco gorsza niż mieszkańca Warszawy (1,30), Pragi (1,63) i Budapesztu (1,78), ale lepsza niż Krakowa (0,98), i wielu miast radzieckich, liczących od 500 tys. do 1 miliona mieszkańców, gdzie ilość taboru tramwajowego i autobusowego, razem wzięta, wynosi tylko 0,83 na tysiąc obywateli.

* * *

Dochodzimy więc do wniosku, że na losie pasażera miejskich środków komunikacji w Łodzi zaciążyły momenty wręcz inne, nieporównywalne. Zaciążyła specyfika miasta, jego historyczne ukształtowanie — bardzo niekorzystne komunikacyjnie, zaciążył.., wielki rozmach budownictwa mieszkaniowego, za którym nie poszedł szybki rozwój ciągów komunikacyjnych, nowych linii tramwajowych i autobusowych, ciążą ulice-przesmyki, w których dusza się wszystkie pojazdy mechaniczne.

Nieporównywalny jest też wielki odsetek ludzi zmuszonych do korzystania z taniej lokomocji miejskiej, przyrost liczby pasażerów po wojnie (łodzianie jeżdżą obecnie blisko cztery razy częściej tramwajami, niż jeździli przed rokiem 1939). Bije nas wielozmianowy system pracy przemysłu, powodujący szczytowe nasilenia ruchu **kilka razy w ciągu doby.**

Ten problem nienadążania komunikacji miejskiej za potrzebami jest problemem ogólnopolskim. Zważmy więc, że w ciągu 25 lat (od 1938 do 1963 r.) długość linii tramwajowych wzrosła w kraju tylko o 26 proc., a ilość wagonów o 41 proc., podczas gdy przewozy pasażerskie skoczyły w tym czasie aż o... 417 proc. Innymi słowy — przejazdów przyrosło 18 razy więcej, niż linii tramwajowych i 10 razy więcej, niż wagonów. Liczby te tłumacza wiele, przede wszystkim odpowiadają na pytanie: dlaczego w tramwajach taki tłok?

Ale w naszym mieście sytuację pasażera pogarsza i to, że mamy niski wskaźnik motoryzacji indywidualnej. Zacytujmy tu przy okazji dane prof. Jana Podoskiego, wybitnego specjalisty komunikacyjnego w naszym kraju, który stwierdził, że w miastach amerykańskich np., liczących powyżej 250 tys. mieszkańców, aż 55 proc. wszystkich przewozów osobowych odbywa się przy pomocy samochodów.

Oczywiście nasza historia powstawania miast i możliwości, są odległe od historii miast amerykańskich, niemniej jednak, nawet w naszych warunkach, nie jest bez znaczenia fakt, że w Łodzi, w porównaniu z innymi miastami w kraju i w Europie, z transportu samochodowego korzysta najmniej mieszkańców. Na każdy tysiąc mieszkańców mamy 10 samochodów, podczas gdy w Poznaniu jest ich 13, Krakowie — 16, Wrocławiu — 15, w Warszawie 23, w w Sofii 13, Belgradzie — 24, a w Dreźnie nawet 54. A ci ludzie, którzy nie jeżdżą samochodami, powiększają tłok w tramwajach i autobusach miejskich.

* * *

Jak więc można sobie wyobrazić drogę poprawy komunikacyjnej sytuacji łodzian? **Trzeba stwierdzić, że nasze miasto bardzo energicznie walczy i o fundusze na rozbudowę linii tramwajowych i autobusowych, i o zwiększenie taboru, w którym się już wprost dusimy.** W najbliższych latach arterie komunikacyjne Łodzi wydłuża się o 24 km, zmieniając korzystnie sieć tramwajową i autobusową, że wspomnimy linie biegnące ze wschodu na zachód, niedługo ujrzymy tramwaje na ulicy Mickiewicza i Nowotomskiego, a na Chojnach — w pobliżu ulicy Komorniki.

Ujrzymy je również na przedłużeniu ul. Kopcińskiego, a ogólna ilość wagonów tramwajowych zwiększy się o 110. Co prawda, odejdzie w tym samym czasie na zasłużoną emeryturę aż 70 wagonów, na ich miejsce jednak otrzymamy wagony bardziej nowoczesne i o wiele pojemniejsze. Dla sprawy zmniejszenia tłoku w tramwajach ważne jest na przykład takie obliczenie: stracimy w wagonach wycofanych z ruchu łącznie 3.500 miejsc, ale w tych, które nadejdą dla Łodzi, będzie miejsc 14.850, czysty więc zysk dla pasażera wyniesie już w latach 1966—70: 14.850 miejsc. Dodajmy, że w tym samym okresie unowocześni się dalszych 556 wagonów (m. in. zlikwidowane zostaną w wagonach motorowych drugie silniki, niepotrzebne już ze względu na to, że wszystkie linie łódzkie mają na krańcówkach tzw. pętle). Taki zmodernizowany wagon będzie o jedną piątą pojemniejszy od wagonu starego typu.

Również jeśli chodzi o autobusy zwycięstwo odnieśli ojcowie miasta oraz druga wersja planu na najbliższe lata. **Zamiast 55 nowych autobusów mamy otrzymać 138 autobusów, przy czym rozstaniemy się już chyba na zawsze z bardzo niepraktycznymi „Sanami"** (słabe konstrukcyjnie, nie przystosowane do ruchu w mieście i drogie, bo jadą na benzynie, a nie na taniej ropie, jak wozy nowocześniejsze). Za kilka lat jeździć będą po łódzkich ulicach „Ikarusy" (dostaniemy ich 123) i „Jelcze" (15), łączny zaś stan posiadania wozów na liniach autobusowych wzrośnie do 227 (po odjęciu wozów, które i tu pójdą na emeryturę).

I co ważne — tabor ten posiadać będzie znacznie wyższą sprawność w eksploatacji, co w porównaniu ze sprawnością np. obecnie kursujących „Sanów" będzie dodatkowym plusem nowych nabytków. **Rozbuduje się i zaplecze komunikacyjne.** Pasażera w zasadzie zaplecze nie obchodzi, ale przecież nie powinien zapominać, że poziom obsługi wozów czy wagonów, to przecież kwestia i szybkości na trasach, i bezpieczeństwa podróży, i sprawności technicznej posiadanego taboru. Stanie w Łodzi nowa zajezdnia autobusowa na ul. Limanowskiego, przebudowane będą remizy na Dąbrowskiego i Brusie, rozbudowane zostaną podstacje elektryczne zasilające łódzkie tramwaje w energię elektryczną. Powoli też, ale zdecydowanie zmieniać się będzie w naszym mieście charakter komunikacji autobusowej. Z roli uzupełniającej trakcję tramwajową, przechodzić ona będzie coraz wyraźniej do zadań samodzielnych, równoległych. Autobusowe linie pospieszne na przykład, uwalniać będą tramwaje od nadwyżek pasażerskich, przewożąc mieszkańców peryferii z jednego krańca miasta na drugi. Będą to kursy droższe niż obecnie, ale kto zechce szybciej dostać się do centrum, albo z Chojen na Bałuty, z pewnością „szarpnie" się na taki „ekspres".

* * *

A ile to wszystko kosztuje? Unowocześnienie komunikacji tramwajowej i autobusowej w najbliższych pięciu latach kosztować będzie przeszło ćwierć miliarda zł, a koszty nowych linii, koszty zaplecza technicznego wyniosą 94 mln zł. Ale przecież oprócz tego z budżetu wyrównuje się co roku deficyt miejskiej komunikacji. Ile? Około 100 mln zł. Tymczasem sytuacja w dziedzinie usług komunikacyjnych jest taka:

— Żeby ludziom podróżowało się tramwajami i autobusami wygodniej, żeby nie było tłoku — usłyszeliśmy ostatnio specjalnie w Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Komunalnych w Łodzi — koszty utrzymania komunikacji miejskiej powinny rosnąć szybciej, niż ilość przejazdów pasażerskich. Innego wyjścia nie ma.

Jak do tej pory jednak mecz: „koszty — pasażerowie" wygrywają raczej ci ostatni. I to jest właściwie cała synteza komunikacyjnej sytuacji tzw. szarego użytkownika.

FELIKS BĄBOL

EWA OSTROWSKA

NA PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

Proch został dawno, dawno temu wynaleziony, prochu więc nie odkryję, lecz jednak powiem starą prawdę, że pomiędzy gospodarką a szkolnictwem zawodowym powinna istnieć ścisła współzależność. Oczywiście nie chodzi tu o to, aby szkolnictwo zawodowe wyprzedzało aktualne potrzeby przemysłu, lecz aby nadążało — szło trop w trop za jego potrzebami.

W ostatnim czasie dużo mówiło się na temat wyżu demograficznego, straszące nim, jak Babą Jagą, podczas, gdy rachunek ekonomiczny jest prosty — przynajmniej dla województwa łódzkiego — miejsc pracy nie zabraknie. Nie zabraknie, mimo że nasze województwo powiększy się w okresie najbliższej pięciolatki o około 80 tys. mieszkańców, osiągając cyfrę 1.745 tys. ludności, mimo że tzw. zasoby siły roboczej zwiększą się aż o 77 tys. osób, mimo że w z bieżącego roku pozostanie nadwyżka owej siły roboczej wcale niebagatelna: 9 tys. osób; mimo że zmniejszy się stan zatrudnienia w rolnictwie o ponad 3 tys. osób; — wreszcie mimo że władze województwa utworzą „tylko" około 66 tys. nowych miejsc pracy, tj. aż o 21 tys. więcej niż w bieżącej pięciolatce.

Jakże więc? Z podanych liczb wynika, że pracy w województwie zabraknie dla około 23 tys. osób? Zabraknie — pozornie. Planuje się bowiem, że około 8 tys. osób znajdzie pracę na terenie Łodzi, 5 tys. wyemigruje na Śląsk, zaś w wyniku deglomeracji przemysłu Łodzi i Warszawy pracę zyska 4 tys. osób, reszta zostanie zatrudniona w nowo budujących się zakładach przemysłowych województwa, których rozruch nastąpi pod koniec nowego pięciolecia.

PROBLEM DNIA WSPÓŁCZESNEGO: KWALIFIKACJE

A w ogóle, podkreślam jeszcze raz — pracy nie zabraknie. Chociaż w czerwcu Wydziały Zatrudnienia notowały ponad 11 tys. osób poszukujących pracy, w tym aż 8.870 kobiet! Chociaż mamy okręgi przemysłowe, takie jak Radomsko, Tomaszów, Zduńska Wola, Piotrków, gdzie rynek pracy jest całkowicie nasycony. Chociaż poważny nacisk na rynek pracy wywiera ludność wiejska — zwłaszcza młodzież wiejska i zwłaszcza dziewczęta. Chociaż na terenie naszego województwa problem zatrudnienia nie jest nowością: już z analizy ekonomicznej lat ubiegłych wynikało, że tempo wzrostu zasobów siły roboczej jest nieproporcjonalnie szybkie w stosunku do przyrostu nowych miejsc pracy (podobne zjawisko występowało i na innych obszarach kraju, np. w woj. warszawskim, kieleckim, rzeszowskim). Mimo tych wszystkich „chociaż" praca jest, województwo cierpi na brak rąk do pracy. **Niedobór występuje nie tylko w budownictwie, przy sezonowych pracach melioracyjnych, nie tylko łęczyckie kopalnie pracują przy niepełnym stanie zatrudnienia — prawie w każdym dziale gospodarki istnieje duże zapotrzebowanie na ręce do pracy. Na wykwalifikowane ręce.**

Bo spójrzmy: w latach 1966—70 potrzeba będzie dla gospodarki uspołecznionej województwa 70 tysięcy robotników kwalifikowanych, 18 tys. pracowników ze średnim wykształceniem technicznym, 5,5 tysiąca z wyższym wykształceniem. Ponadto rzemiosło potrzebuje jeszcze dla siebie 12 tysięcy wykwalifikowanych robotników i majstrów. Gdy tymczasem: liczba absolwentów szkół zawodowych w tym okresie wyniesie — 32,6 tys. robotników kwalifikowanych, 14,5 tys. pracowników ze średnim wykształceniem technicznym. Na szkoleniach zakładowych ma uzyskać kwalifikacje 20 tys. robotników — i... proszę bardzo, teraz podsumujmy, teraz obliczmy. Brakuje jeszcze 16 tys. robotników z kwalifikacjami oraz 3,5 tys. pracowników ze średnim wykształceniem technicznym!

CIENIE I BLASKI ŻYCIA SZKÓŁ PRZYZAKŁADOWYCH

Nasze szkolnictwo zawodowe nie nadąża za potrzebami przemysłu, wniosek prosty. Prosty dla publicysty, niezwykle skomplikowany w swoich konsekwencjach dla ekonomisty. Wszak naczelną zasadą współczesnego przemysłu jest jak najpełniej pojęty postęp techniczny, który wymaga kadry wysokokwalifikowanej; rozwiązanie więc problemu zatrudnienia polega nie tyle na tworzeniu nowych stanowisk pracy, ile na usprawnieniu działalności, kierunkującej wzrost kwalifikacji zawodowych osób już zatrudnionych w produkcji, a przede wszystkim tych, którzy produkcję mają w najbliższych latach zasilić — młodzieży. **Punkt ciężkości spoczywa na szkole zawodowej, na jej wydajności i sprawności nauczania.**

Na przestrzeni czterech ostatnich lat województwo łódzkie wzbogaciło się o 24 technika dla młodzieży **nie pracującej, 12 techników dla pracującej, 11** zasadniczych szkół zawodowych, 23 szkoły przyzakładowe, 12 międzyzakładowych. To bardzo dużo, lecz jeszcze niewystarczająco.

Szkolnictwo zawodowe woj. łódzkiego może poszczycić się wieloma poważnymi sukcesami, ot, wymienię dla przykładu, że osiągnięto ono bardzo wysoką sprawność nauczania: 64,17 wobec przeciętnej krajowej: 57,24. Lecz jednocześnie szkolnictwo zawodowe nie jest pozbawione smutnych cieni rzutujących na całokształt pracy.

Przede wszystkim w trudnym położeniu znajdują się szkoły przyzakładowe. Najpierw więc słów kilka o nieco dziwnych sprawach tych szkół. W szkołach przyzakładowych podległych resortom **przeciętnie 78 proc. nauczycieli zatrudnionych jest w niepełnym wymiarze godzin!** Nauczycieli dorabiających jedynie, choć z wyższym wykształceniem; dla których obowiązek nauczania jest złem koniecznym. I jednocześnie nauczycieli bez kwalifikacji pedagogicznych. Prawie osiemdziesiąt procent, przytłaczająca większość. Wyobraźmy sobie taką szkołę, jej pracę, pomyślmy o efektach nauczania czy wychowania? Cóż to za szkoła, gdzie nauczyciele pracują tylko dorywczo? To właśnie — szkoła przyzakładowa!

Problemem nr 2 są warunki lokalowe. Brak elementarnych pomieszczeń, brak warsztatów, gabinetów, ba! nawet brak lokali dla administracji i dyrekcji szkoły. Zwłaszcza fatalne warunki lokalowe posiadają — o dziwo! — te szkoły przyzakładowe, które lokalizuje ich własny zakład pracy (a to jest jego obowiązkiem). Znalazł się nawet taki jeden sprytny (przedsiębiorstwo „Instalacje Przemysłowe"), który swoją rodzimą szkołę ulokował w barakach, nadających się jedynie na... rozbiórkę.

Problem numer trzy. Dyrekcje szkół przyzakładowych rzadko kiedy mają orientację w dotacjach finansowych zakładów pracy na szkołę. Zakłady nie fatygują się zawiadamiać swojej szkoły o takich drobnostkach, jak przyznanie funduszy na jej potrzeby. Czasem nawet sam zakład pracy nie wie, jaką sumę poświęcił swojej szkole.

WĄSKIE GARDŁO SZKÓŁ ZAWODOWYCH

Szkoły przyzakładowe mają źle wyposażenie, technika nie zawsze lepsze. Ciasnota lokalowa jest chorobą nagminną w szkolnictwie zawodowym. Winę ponoszą przede wszystkim odpowiedzialne resorty, które choć pragną mieć wykwalifikowane kadry, to chcą je mieć jak najtańszym kosztem, a oszczędzać można i trzeba, lecz nie na szkołach. Podstawą nauki w szkole zawodowej są warsztaty. I mimo, że sytuacja w zaopatrzeniu warsztatów polepsza się z roku na rok, to poprawia się zbyt wolno, efekty są zaś takie, że często absolwenci techników wychodzą z dyplomem zawodowym — lecz dyplomem niedouczonym. Bo i czego można nauczyć młodzież na maszynach przestarzałego typu, archaicznych prababkach i pradziadkach, pamiętających czasy arki Noego? A zakłady pracy wyposażają swoje szkoły właśnie w takie stare buble. 30 proc. parku maszynowego w szkołach zawodowych to maszyny przestarzałe, a część z nich w ogóle już nie nadaje się do żadnej eksploatacji. „Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda" głosi mądre przysłowie, a jednak w ubiegłym roku szkolnym Kuratorium oddało na złom 40 różnych maszyn i urządzeń, którymi poszczególne zakłady pracy wspaniałomyślnie obdarowały swoje szkoły. Szczodra to ręka, zaiste, lecz niechaj później zakłady nie narzekają, że otrzymały niedouczonych specjalistów.

Natomiast wąskim gardłem szkolnictwa zawodowego są internaty. Według opinii Kuratorium liczbę uczniów w technikach można by podwoić, **gdyby nie brak miejsc internatowych.** Młodzież uprawia istne wędrówki ludów, dojeżdżając do szkół, odległych czasem od miejsca zamieszkania o parę godzin jazdy pekaesem. Na 61 tys. uczącej się w łódzkim szkolnictwie zawodowym młodzieży — aż 24 tysiące dojeżdża do szkół; to jest 40 proc. uczącej się młodzieży! „Środkami własnymi lokomocji" — a jako środek lokomocji wchodzą tu w grę również i własne nogi — dojeżdża ponad osiem tysięcy uczniów, pekaesem — dziewięć tys., odległość ponad 5 km od miejsca zamieszkania pokonuje codziennie ponad pięć tysięcy młodzieży... a w samych internatach panuje tłok, gdyż aż o tysiąc miejsc został przekroczony limit. Rezultatem tych wędrówek jest słabsze przygotowanie do lekcji, bo niby kiedy młodzież ma się uczyć, jeżeli dojeżdża?

MUSZTARDA PO OBIEDZIE

Była już mowa o korelacji, o niedoborach kwalifikowanych kadr. Najdotkliwsze występują w grupie zawodowej włókienników, elektryków, chemików, w budownictwie i usługach. W nowo wybudowanej Fabryce Żarówek w Pabianicach tylko 25 proc. załogi posiada kwalifikacje. A przecież ta inwestycja nie spadła z nieba, była planowana, budowana, lecz jakoś nikt mądry nie zaplanował w odpowiednim czasie szkoły, która przygotowywałaby dla „Żarówki" kwalifikowanych pracowników. Dopiero teraz zorganizuje się w Pabianicach technikum o specjalności elektrycznej. Lecz to już musztarda po obiedzie. Podobne planowania zdarzają się częściej. Działa następująca zasada — najpierw buduje się inwestycję, a potem na gwałt myśli się o kształceniu dla niej specjalistów. Gdy prościutkie — odwrócić zasadę: powstaje inwestycja, powstaje jednocześnie odpowiednia szkoła zawodowa, inwestycja gotowa, są już pierwsi absolwenci. Bo pomyślmy, ile szkód, całkowicie obiektywnych wyrządza pabianickiej „Żarówce" 75 procent niewykwalifikowanej załogi!

CENZUS WYKSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednej kwestii konfliktowej; zakłady pracy nie wszędzie i nie zawsze przestrzegają przy angażowaniu pracowników cenzusu wykształcenia. Na początek czerwca br. 1600 absolwentów szkół zasadniczych oraz 350 szkół zawodowych znalazło się nagle poza pracą, nie zapewniono im miejsc w zakładach. Dzięki interwencjom władz partyjnych województwa absolwenci pracę otrzymali, to jednak faktu nie zmienia, że zakłady pracy nie rezerwują etatów na koniec roku szkolnego, korzystają z pracowników przypadkowych, co chyba nie jest zjawiskiem prawidłowym.

W rozwoju szkolnictwa zawodowego stwierdza się poza tym zbyt wolny rozwój techników dla pracujących w stosunku do techników młodzieżowych. O ile w tych ostatnich liczba uczniów klas pierwszych wzrosła na przestrzeni ostatnich czterech lat o 800, osiągając przeszło 4,5 tys. uczniów, to w technikach dla młodzieży pracującej w 1964 roku przyjęto zaledwie ogółem około 1000 uczniów. A wytyczne VII Plenum KC PZPR mówią o objęciu technikami dla pracujących około jednej trzeciej ogółu kształcących się w tego typu szkołach.

Komitet Wojewódzki PZPR poświęcał i poświęca wiele uwagi problemom szkolnictwa zawodowego. Plenum odbyte w tej sprawie ustaliło kierunki działania, powzięło szereg uchwał w celu poprawienia istniejących jeszcze nieprawidłowości w szkolnictwie zawodowym, właściwy rozwój którego w sposób tak istotny ciąży na powodzeniu naszych planów gospodarczych. A czas pogania, czas nie czeka — jest już pięć minut przed dwunastą. Przed nową pięciolatką.

TURYSTYKA NA CENZURO WANYM

Dalszy ciąg ze str. 1

kingi... Wszystko jest potrzebne, jeśli warszawska Syrena myśli na serio o zwabieniu na brzeg Wisły cudzoziemców, z których nie każdy jest przecież chytrym Ulissesem. Czy jednak takie inwestycje byłyby opłacalne? Istnieją co do tego biegunowo różne punkty widzenia. Jedni głoszą, że Polska już przez samą naturę jest skazana na odgrywanie roli turystycznego kopciuszka.

To kraj płaski, nizinny, monotonny i nudny. Można przejechać tysiąc kilometrów od Rzeszowa do Szczecina, i nie zetknąć się z niczym, na czym warto by zawiesić oko. Sceneria jest ponura, wiochy nędzne, drogi piaszczyste, rzadkie lasy i płaczące wierzby. A turysta płakać nie chce. Ze są Chęciny. Ano są, tylko że gdzie indziej takich Chęcin na kopy. Turysta pragnie na małym skrawku ziemi podziwiać piękno średniowiecznych zamków, rwące rzeki, górskie łańcuchy i urocze miasteczka ukryte w dolinach. Czy mamy w naszym kraju Turyngię, Dubrownik, Pireneje czy Krym? Wybrzeże Bałtyckie? Wolnego, ono wcale nie wchodzi w rachubę. Jest na to za zimne, za wietrzne i za deszczowe.

Nieprawda — wołają inni — Polska jest krajem cudownym, niepowtarzalnym. To nie, że u nas klimat chłodny i sezon turystyczny tylko kilkutygodniowy. Nie do nas z takimi argumentami. Holandia jest też chłodna. Jednak przez Amsterdam, Rotterdam i Zelandię przeciągnęło w zeszłym roku 20 milionów wycieczkowiczów. Urokiem dla turysty było tam nie słońce, ale tulipany na polach i wiatraki nad kanałami. Tenże turysta chętnie do nas wpadnie, żeby zobaczyć Boże Ciało w Łowiczu, wysłuchać na Błoniach ludowych kapel. Natura też nie obeszła się z nami po macoszemu. Dunajec, Brda, Czarna Hańcza to co? Czy jest gdzie coś wspanialszego od Gór Świętokrzyskich, Spały, Tucholskich Borów, od Bieszczad, Piskiej Puszczy i Białowieży? Czy to nie atrakcje turystyczne najwyższego lotu?

Polska jest krajem interesującym, unikalnym pod względem uroków krajobrazu.

No cóż, takie słowa łatwo wpadają w ucho, znajdują drogę do serca. Zakochani we wszystkim co polskie, to my już jesteśmy. Bardziej jesteśmy skłonni widzieć róże na pajęczańskich piachach, niż nachalne łopiany. Zostawmy. Argumenty mają to do siebie, że unicestwiają się wzajemnie. Zaczyna jednak ostatnio dochodzić do głosu czynnik, który może przeważyć szalę na korzyść entuzjastów mazowieckiego pejzażu. Tym czynnikiem jest niezaprzeczalna egzotyka naszego kraju.

W Paryżu zdumiewano się:

— Jak do tego doszło, że ilość turystów w Izraelu, Turcji i Jugosławii wzrosła w ostatnich 5 latach aż 5-krotnie. Czemu Madryt wyrywa Paryżowi turystyczną palmę pierwszeństwa? Odpowiedzi udzielili psycholodzy. Człowiek współczesny poszukuje odprężenia, relaksu, czegoś, co odbiega od normy, co jest różne od modelu życia, do którego przywykł. Ma dość estrad, balustrad, konsolet i klombików za oknem. Smukła piękność w czarnej woalce na tle minaretu. Taki plakat działa na zblazowanego Anglika, jak ta płachta. No właśnie, to jest kraj, który muszę koniecznie zobaczyć...

Egzotyka liczy się coraz bardziej. Holendrzy wyczuli to pierwsi. Utrzymują całe wioski, całe przybrzeżne wysepki na poziomie minionych wieków. Pokazują cudzoziemcom rosłe chłopki w czepkach i drewniakach, żurawie, średniowieczne chaty, karczmy jak z obrazów De Hoocha i Pottera. Nic nie szkodzi. Amerykanie to lubią. Przepadają za widokiem prostych żydli i starych pieców kaflowych. To im przypomina ich własne pochodzenie. Także czasy prymitywu i pionierskiego parcia na bezbrzeżne obszary Dzikiego Zachodu. Tak już bywa, że nawet to co nazywamy zacofaniem może być atrakcją. Przed rewolucją Kuba ściągała rocznie miliony żądnych wrażeń Jankesów. Teraz tę funkcję spełnia Mexico-City.

Zakopiańscy górale, pełne werwy łowiczanki, poseni Kaszubi. Polska ma w sobie też coś z egzotyki.

Była zawsze pomostem między Wschodem i Zachodem. Na jej ziemiach krzyżowały się wpływy różnych kultur, religii, światopoglądów. I wciąż się krzyżują. Dlatego turystę bardziej interesują bieszczadzkie cerkwie drewniane niż Płocka Petrochemia. Cudzoziemiec nadrobi kilometrów, żeby ujrzeć prawdziwego żubra w puszczy. Nie pożałuje grosza, żeby posłuchać chóralnych zawodzeń w opoczyńskich wioskach. Przecież na tych właśnie zawodzeniach światową karierę zrobiło „Mazowsze". Nie lubi jednak szastać groszem. Zapłaci, ale po ludzkich cenach. Wybiera kraje tanie, unika drogich.

Turysta musi w Paryżu wyłożyć 98 franków, żeby spędzić dobę w sposób wygodny, względnie przyzwoity. W Holandii za tę przyjemność płaci się średnio 70 franków, w Jugosławii 55, w Grecji 48 franków. Być może owa relacja cen sprawiła, że tylko w lipcu odwiedziło Grecję 60 tysięcy samych Francuzów. A jakim krajem jest Polska? Tanim czy drogim? — Proszę pana, mamy przy sobie 70 dolarów — przyznały się znajome Szwedki w Berlinie — Czy to starczy na kilkudniowy pobyt w Warszawie?

Pewnym przyczynkiem do tej kwestii mogą być dane opublikowane przez brytyjskie towarzystwo lotnicze BEA. Z tych danych wyłania się obraz dla zagranicznego turysty mało zachęcający. Jaki taki obiad, z jakim takim drinkiem, kosztuje według BEA w warszawskiej restauracji aż 3 dolary. Droższa niż w wielu innych krajach jest także benzyna. Bariera jest też jakość usług. Słychać, że turyści dostają wypieków na wspomnienie naszej wciąż od nowa reformowanej gastronomii. Tymczasem turysta, którym jest najczęściej człowiek w średnim, nawet zaawansowanym wieku, chce korzystać z minimum choćiażby wygód.

Przypomina się anegdotka o Napoleonie.

Po bitwie Napoleon wezwał do siebie jednego z generałów i krzyknął:

— Dlaczego, do krocset, nie strzelały pańskie armaty?

— Było po temu sto różnych przyczyn — odparł spokojnie generał — Po pierwsze nie miałem amunicji...

— Starczy — przerwał Napoleon — pozostałych przyczyn może pan nie wymieniać.

Czemu w Polsce tak wolno rozwija się turystyka międzynarodowa? Bo łóżek brakuje w hotelach. Dziękuję, starczy... Turystyka, jak każdy inny przemysł, da dochód, jeśli w nią się wpierw zainwestuje. Turystyczna kura musi się najeść, żeby znieść złote jaja. Połapali się w tym Jugosłowianie, po nich Bułgarzy. Teraz znów Rumuni pompują ciężkie miliony w swoją Mamaję. A my to co? Czy musimy zawsze być ostatni? Wcale nie. Pod warunkiem, że niewielkie środki, którymi dysponuje resort turystyki, będą zainwestowane z maksymalnym rozsądkiem. Więc bez gigantomanii, bez rozproszenia po całym polskim niżu. Koncentracja nakładów w kilku wybranych rejonach — oto najlepsze rozwiązanie. Jednym z takich rejonów winna być Spała z Sulejowem.

Leszek Rózga. Grafika

Sulejowski klasztor pocysterski to perła architektoniczna najczystszej wody. Ze swymi murami i basztami wygląda z daleka nie gorzej niż przesławny Wartburg w Eisenach. Z Sulejowa tylko krok do dziewiczej puszczy spalskiej. Bory ciągną się tam 50 kilometrów, od Meszczy po Nowe Miasto. Zagraniczni turyści mają już dość ścisku pod Akropolem i piekielnych upałów w zatłoczonym Madrycie. Mrowie zagonionych, zaaferowanych, nieprawdopodobnie utrudzonych turystów, w stanie ciągłego alarmu, którzy pędzą od jednego muzeum do drugiego, od katedry do bazyliki, od ruiny do kantyny. To mrowie chce wreszcie odetchnąć, wypocząć na powietrzu. Uwolnić się od nakazów i zakazów, które są nieuniknione w dużych środowiskach miejskich.

Turyści mają już dość harówki — pisał niedawno „Le Figaro" — z której nie pamiętają niczego prócz zmęczenia.

Turysta zaczyna się rozglądać za miejscem pod słońcem, gdzie mógłby odsapnąć od jazgotu aut i uciec od hałasu odrzutowców. Moda jest więc na Turcję. Czy nadpilicka puszcza jest gorsza? Nie tłumaczmy wszystkiego przemożną niemożnością. Trudno uwierzyć, by nas nie było naprawdę stać na jeden nowoczesny motel w Spale, z warsztatem, garażem, stacją benzynową i małą restauracyjką. Nie motywujmy wszystkich naszych niedostatków siłami wyższymi. Zwłaszcza tych, które się biorą ze zwykłego niedbalstwa, braku inicjatywy i gospodarskiego zmysłu.

Dla kogo ten motel w Spale? Przecież nikt specjalnie nie przyleci z Londynu nad Pilicę. Motel dla tych, którzy ciągną tranzytem z Wysp Brytyjskich do Moskwy, z Pragi nad morze, ze Skandynawii na Węgry. Przy mądrej reklamie i zapewnieniu ludzkich wygód, na pewno by się dało skłonić tranzytowca, by zboczył nieco z kursu. By odsapnął przez dzień lub dwa w ciszy spalskich borów. Małość decybeli rośnie wszędzie w cenie. To dziś wartości, które turysta chętnie kupi za dolary. Car fatygował się do Spały, czemu urzędnik londyńskiego banku nie miałby spróbować na miejscu naturalnego smaku polskich jagód. Płaci za nie u siebie horrendalne ceny.

Od pewnego czasu, francuscy spece od turystyki zachęcają cudzoziemców wszystkimi dostępnymi środkami, by odwiedzali Francję. Starania te dają pożądane efekty. Meldunki znad Sekwany brzmią optymistycznie. Turyści walą do Paryża, do Perpignan, do Normandii i na Lazurowe Wybrzeże drzwiami i oknami. Hotelarze biją w dzwony. Jest lepiej niż rok temu — wołają radośnie — Jest lepiej, niż byliśmy skłonni przypuszczać. Więc paryskie bulwary były w sierpniu zatłoczone. Amerykanie przestali się podobno zajmować katedrą Notre Dame i wieżą Eiffla. Zanotowano u nich inne ciągoty. Ponad wszystko przedkładali całonocne „tour des cabarets".

Czym otworzymy nasz własny turystyczny sezon w roku przyszłym?

Bieżący sezon już się skończył. Nie był dla nas zbyt radosny. Byłoby czymś niewybaczalnym, gdybyśmy się nadal uparli traktować turystykę per nogam albo, co na jedno wychodzi, per non est. Bo ona jest, ta turystyka. Sypie pobratymcom milionami dolarów. Być może, nie wyrażam się dość jasno, być może nie rozumuję bezbłędnie, bardzo jednak chciałbym mieć rację.

Zróbmy coś, obywatele!

JAN BABIŃSKI

KONRAD FREJDLICH

ZAMACH NA POCIĄG nr 10

PITAVAL ŁÓDZKI

Jesienią 1906 na maleńkiej stacyjce kolejowej Rogów zjawił się jakiś światowy pasażer i przez blisko półtorej godziny bawił rozmową zawiadowcę stacji Antoniego Słupeckiego. Wyglądał tak sympatycznie, że od razu podbił urzędnika, który nie tylko zgodził się na nadanie depeszy ze służbowego telegrafu, ale jeszcze popisywał się przed nieznajomym biegłością w wystukiwaniu znaków telegraficznych.

Pasażer ten na próżno oczekiwał na konie, które miały po niego przybyć na stację. Żandarm stacyjny Choruk, odradzał mu szczerze wyprawę piechotą do dość odległego majątku, gdyż według jego zawodowej znajomości rzeczy, w okolicy mieli grasować bandyci. Ale konie nie podjeżdżały. Pasażer więc pokręciwszy się pilnie po stacji, zdecydował się wyruszyć piechotą, żegnany współczującymi westchnieniami żandarma Choruka, który dobrze wiedział, co to znaczy spotkanie z bandytami. Przybysz ruszył wzdłuż torów w kierunku na Warszawę, a kiedy tylko znalazł się w bezpiecznej odległości od stacji, wyciągnął szkicownik i dokładnie wyrysował w nim wszystkie urządzenia stacyjne, zaznaczając szczególnie telegraf dyżurnego ruchu, Słupeckiego. Potem wyciągnął mapę sztabową guberni piotrkowskiej i ruszył w kierunku na Łódź.

Wizyt takich złożono na rogowskiej stacji w sumie osiem, co pozwoliło ustalić nad wszelką wątpliwość, że nie ma na niej żadnej ochrony wojskowej prócz żandarma Choruka w stopniu podoficera.

Zaś 9 listopada 1906 r. o maleńkiej stacji rogowskiej dowiedział się cały świat w doniesieniach agencyjnych z dnia poprzedniego. Jak doniosły gazety, a szczególnie dobrze poinformowany „Kurier Warszawski": **„Wczoraj wieczorem rozeszła się po mieście lotem błyskawicy wieść o zamachu, dokonanym przez rewolucjonistów na pociąg pocztowy kolei wiedeńskiej w Rogowie. Roznieśli ją przede wszystkim ludzie, którzy wieczorem oczekiwali na dworcu wiedeńskim na przybycie pociągu nr 10".** W następnych depeszach podano, że sprawcy napadu zrabowali milion trzysta tysięcy rubli pieniędzy rządowych, co było przesadą, ale nie zawinioną przez dziennikarza, który wiadomość redagował. W zamieszaniu wywołanym nieprawdopodobnym zdarzeniem, władze straciły głowę i nie mogły połapać się w stratach. Następne depesze prostowały wiadomości poprzednie, określając straty na 300.000 rubli, zaś w szczegółowym raporcie p. o. tymczasowego generał-gubernatora guberni piotrkowskiej, generała majora Dubrowy do Skałona, podaje się te straty już o wiele ściślej, a mianowicie na 50.000 rubli. Ponieważ tylko część tej sumy napastnicy przejęli w banknotach, pozostałą zaś część w papierach wartościowych, trudnych do zrealizowania, można uznać, że miarodajne jest pokwitowanie wydrukowane w listopadzie na łamach nielegalnego „Robotnika", wydawanego przez PPS-Frakcję Rewolucyjną: **„Dnia 8 listopada rb. w Rogowie oddział Organizacji Bojowej naszej partii skonfiskował z pieniędzy rządowych 30 170 rubli, 28 kop. Suma ta została przelana do centralnej kasy partyjnej".** Sprostowanie zaś wydrukowane miesiąc później ostatecznie ustala, że w wyniku ekspropriacji na stacji Rogów przejęto pieniędzy rządowych 30.155 rubli 78 kopiejek.

Dziś, po prawie sześćdziesięciu latach od tamtych wydarzeń, znamy najdrobniejsze szczegóły akcji rogowskiej, do czego przyczyniło się studium historyczne Adama Próchnika pt. „Akcja bojowa pod Rogowem" drukowane w 1 i 3 zeszycie tomu III „Niepodległości" z 1931 r., a także publikowane w r. 1922 nakładem Zarządu Głównego Związku Zawodowego Robotników Rolnych Rzeczypospolitej Polskiej wspomnienia Jana Kwapińskiego pt. „Pod Rogowem". Kwestie merytoryczne rozszerzymy o raport generał-majora Dubrowy, odnaleziony przez Pawła Korca, który to raport cytować będę we własnym przekładzie.

Mamy więc dzień 8 listopada 1906 r. O godz. 18.17 ze stacji Łódź-Fabryczna wyrusza pociąg osobowy nr 34 w kierunku Warszawy. W każdym z wagonów zajęli miejsca przemieszani ze zwykłymi pasażerami, członkowie Organizacji Bojowej PPS. Podzieleni są na oddziały, na których czele stoją instruktorzy. Całą akcją kieruje „brunet", lat około trzydziestu, o czarnych niewielkich wąsach i takiej brodzie w klin, dość wysokiego wzrostu". Taki rysopis przywódcy zanotują potem władze po przeprowadzeniu dochodzenia, które zresztą żadnych innych rezultatów nie przyniosło. W Koluszkach niewielki oddział bojowców wysiada i czeka na mający przybyć z Częstochowy pociąg pocztowy nr 10, pozostali dojeżdżają pociągiem nr 34 do Rogowa. Jest ciemno, ale na maleńkiej stacyjce przybycie na raz tylu podróżnych zwraca jednak uwagę. Dubrowa zaraportuje potem: **„Na krótko przed przyjazdem pociągu pocztowego nr 10 wśród znajdującej się na stacji publiczności, pojawiło się 30 do 40 młodych ludzi, często inteligentów, często ubranych jak robotnicy".**

Kiedy pociąg nr 34 opuszczał Rogów, z Koluszek odchodził na Warszawę pociąg pocztowy nr 10. Składał się z siedmiu wagonów, z których drugi wiózł pocztę, trzeci ochronę wojskową, w ostatnim zaś ulokował się VI Oddział Bojowców z zadaniem unieszkodliwienia żołnierzy, którzy mieli zwyczaj okupować koniec pociągu. Ale żołnierzy w tym wagonie nie ma, nie ma z kim stoczyć walki, toteż nic nie zakłóca zgodnego z rozkładem jazdy biegu pociągu pocztowego nr 10. Tym większe będzie więc zaskoczenie pasażerów i obsługi, kiedy pociąg parę minut po godzinie 20 zatrzyma się w Rogowie.

Tymczasem więc, kiedy pociąg pocztowy oddala się od Koluszek, prawdziwe chwile grozy przeżywa tylko publiczność i personel kolejowy na stacji rogowskiej. Kiedy padła komenda: „Przygotować broń!", zdezorientowani pasażerowie zebrani w bufecie III klasy i poczekalni, wpadają w panikę, wszczął wymierzony przeciwko sobie napad bandycki i uspokajają się dopiero na wygłoszone napredce przemówienie polityczne zakończone słowami: „Państwo widzicie przed sobą żołnierzy rewolucji, członków bojowej organizacji PPS". Ale przemówienie to nie uspokoiło ich do końca, co sprytniejsi więc próbują wymknąć się na dwór i są przerażeni widząc, że cała stacja została otoczona przez bojowców. Przybysze zatrzymali też wszystkie znajdujące się przed budynkiem furmanki i bryczki.

W międzyczasie bojowcy bezgłośnie opanowali stacyjny telegraf. Jeden z nich zasiadł do aparatu, aby zastąpić w czynnościach służbowych, zwykle zatrudnionego tam urzędnika i wywiązał się z zadania na tyle dobrze, że na linii nie zauważono żadnej zmiany. Niczego też niezwykłego nie spostrzegł przechadzający się po peronie żandarm stacyjny Choruk, „Fijoł", jak nazywano wtedy powszechnie żandarmów dla ich fioletowych mundurów, zaniepokoił się tylko obecnością dwóch chodzących za nim krok w krok pasażerów. Był tak wystraszony, że nie tylko ich nie wylegitymował, ale jeszcze z tęsknotą wyczekiwał świateł pociągu pocztowego nr 10, gdzie jechali żołnierze, od których spodziewał się pomocy. Sapanie zbliżającej się lokomotywy wbrew przewidywaniom żandarma nie spłoszyło bezczelnie prowokujących go indywiduów.

Właściwie nic nie zapowiadało niezwykłości następnych dwudziestu minut. Do nadjeżdżającego pociągu wyszedł dyżurny ruchu, który podobnie jak żandarm, jeszcze nie orientował się w sytuacji. Zanim

Zwierzenia archeologa

ANDRZEJ NADOLSKI

DE BELLO GALLICO

Gdy stanęliśmy na szczycie, powiał przenikliwy zimny wiatr. Od północnego zachodu szybko napływała niska linia deszczowych chmur. Blask słoneczny przygasł i ruiny starożytnego miasteczka na płaskowzgórzu straciły połowę swego uroku. Ot, sterty szarych kamieni. Turysta bez przewodnika z trudem tylko dopatrzy się w nich zarysu ulic, domów, świątyń, teatru, śladów bujnego życia rzymskiej Galii, jednej z najbogatszych prowincji Imperium.

Oko archeologa dojrzy tu jednak i ślady dawniejszego życia, może równie bujnego, życia którego nagły kres wiąże się nierozerwalnie z tym właśnie miejscem. Płaskowzgórze dziś nosi nazwę Alise St. Reine, ale przed dwoma tysiącami lat nazywało się Alezja.

Minęły już czasy kiedy to wykształceni Polacy zadziwiali Europę doskonałą znajomością klasycznej łaciny (choćby jak owi posłowie, co to przybyli do Paryża aby zaprosić Henryka Walezego na krakowski tron; dotąd ich we Francji wspominają!). Ale zapewne wielu dawnych i niedawnych uczniów pamięta zdanie „Galia est omnis divisa in partes tres" („Cała Galia dzieli się na trzy części"). Słynne pierwsze zdanie dzieła, którego zdumiewająco jasny i zwięzły język pobrzmiewa echem wojskowych raportów, jakże różnym od kwiecistej, adwokackiej prozy Cycerona. Gajusz Juliusz Cezar, autor „Commentarii de bello Gallico" był jednym z dwóch głównych bohaterów dramatu rozegranego wokół Alezji. Drugiego — przypomina ogromna statua w nie najlepszym dziewiętnastowiecznym guście, wznosząca się nad krawędzią płaskowzgórza. Wercyngetoryks, inicjator i naczelny wódz wielkiego powstania Gallów przeciw rzymskiemu najeźdźcy.

Pomnik postawili Francuzi, którzy (choć są narodem romańskim, a więc głęboko związanym z rzymską tradycją) właśnie w połowie ubiegłego stulecia, w okresie romantyzmu, żywo zainteresowali się śladami swych celtyckich przodków. Nie trzeba zresztą było zbyt daleko szukać tych śladów. Czyż w nazwach francuskich miast, rzek i prowincji nie zachowały się nazwy celtyckich plemion: Parisiów (Paryż), Sekwanów (Sekwana), Piktawów (Poitou), Arwernów (Auvergne)?

Celtowie (albo Gallowie, bo to na jedno wychodzi) byli ludem, który niemało zaważył na pradziejach Europy. Ze swych pierwotnych, podalpejskich siedzib wyrośli się około połowy 1 tysiąclecia p.n.e. falami potężnych najazdów i wędrówek na Wschód, Zachód i Południe, spustoszyli Grecję, przeszli do Azji Mniejszej i zwani tam Galatami, wywarli doniosły wpływ na dzieje państw hellenistycznych. Na Zachodzie opanowali całą Francję. Wyspy Brytyjskie, część Hiszpanii. Na Południu, w Italii podcięli potęgę Etrusków i spalili przy okazji niezbyt znane jeszcze miasto nad Tybrem — Rzym. Przodkowie późniejszych zdobywców Galii pocieszali się potem legendą o gęsiach, które ocaliły bodaj rzymski Wawel — Kapitol.

Po okresie wielkich podbojów przyszedł okres wewnętrznego rozkwitu. Rozwijając swą, tradycyjną, wcale zaawansowaną kulturę, czerpiąc obficie ze wzorów jakich dostarczały pobliskie cywilizacje nadśródziemnomorskie, Gallowie w pierwszym wieku p.n.e. bliscy byli utworzenia własnej ponadplemiennej organizacji państwowej. Ogół ludności celtyckiej mieszkał po wsiach, zajmował się uprawą roli i hodowlą, istniały jednak także wielkie obronne osady (tzw. z łacińska „oppida") gdzie skupiali się liczni, doskonale wykwalifikowani rzemieślnicy i obrotni kupcy. Istniała rycerska szlachta waleczna, ambitna i swarliwa. Z niej właśnie rekrutowała się kawaleria celtycka, szeroko słynna w starożytności. Istniał wreszcie potężny, stan kapłański — druidowie. Plemiona celtyckie biły monetę, wzorowaną na greckiej. Umiały posługiwać się pismem. Wytworzyły ciekawą i oryginalną sztukę. Celtycki styl zdobniczy, zwany stylem La Tène opanował na parę wieków niemal całą, barbarzyńską Europę. Bo wpływ Celtów na bardziej prymitywne ludy sąsiadujące z nimi od północy i wschodu był ogromny. Sięgnął i na ziemie polskie, gdzie zresztą blisko było z Czech, kraju wówczas rdzennie celtyckiego (to po celtyckim plemieniu Bojów odziedziczyły Czechy swą łacińską i niemiecką nazwę: „Boemia", „Böhmen"). W regionach graniczących z Czechami, na Górnym Śląsku i w Ziemi Krakowskiej odkrywamy dziś ślady po gallijskich wsiach. Reszta kraju nad Wisłą i Odrą, choć zamieszkała wówczas przez ludność nie celtycką, pewno już słowiańską, obficie korzystała z dorobku południowych sąsiadów, naśladując ich broń, ozdoby, narzędzia. Od Celtów, świetnych hutników i kowali przyjęli nasi przodkowie przede wszystkim umiejętność wytapiania i obróbki żelaza, tańszego i bardziej praktycznego niż tradycyjny brąz. Z Celtami zawitały do nas żarna obrotowe i koło garncarskie. Pierwsze, nieliczne jeszcze monety, głównie greckie przybyły na północ zapewne w sakiewce celtyckiego kupca. Polskie nazwy miejscowe „Tyn", „Tyniec", to przekształcone celtyckie słowo „dunum" — gród, oppidum.

Ale niebawem zmienił się bieg dziejów i zmroczniał horyzont celtyckiej świetności. Z jednej strony rojne ludy germańskie poczęły opuszczać swój mglisty, chłodny północnoeuropejski matecznik i przeć na południe, szukając nowej, ojczyzny bardziej żyznej, bardziej słonecznej. Z drugiej strony zagroziła ekspansja Rzymu. Minęły czasy kapitolińskich gęsi! Z małej mieściny nad Tybrem wyrosła potężna a drapieżna, Rzeczpospolita narzucająca swą wolę wszystkim krainom nad Morzem Śródziemnym. Celtyckie plemiona w północnej Italii i w południowym, nadmorskim skrawku obecnej Francji od lat były już uległe władzy rzymskich prokonsulów, gdy w połowie 1 wieku p.n.e. przyszła kolej na pozostałą, przeważającą część ziem dzisiaj francuskich, na właściwą Galię. Tę właśnie Galię, która „divisa in partes tres" była sercem celtyckiego świata. Wykorzystując waśnie licznych, a poróżnionych między sobą plemion i stronnictw, zręcznie wygrywając lęk przed grożącym spoza Renu germańskim zalewem, schlebiając jednym, bezlitośnie tępiąc drugich Cezar mocno usadowił się nad Sekwaną, Marną i Loarą. Senat w dalekim Rzymie z podziwem i źle tajoną niechęcią dowiadywał się o sukcesach ambitnego gubernatora. Z zawiścią śledzili je koledzy — triumwirowie. I właśnie wtedy, gdy Galia zdawała się bezpowrotnie podbita i spacyfikowana, cały kraj nagle stanął w ogniu. Wybuchło nowe, potężne powstanie, rozmiarami i siłą wielokrotnie przekraczające wszystkie zrywy wcześniejsze. Na jego czele stanął naczelnik plemienia Arwernów — Wercyngetoryks. Cezar znalazł w nim wreszcie godnego przeciwnika. Celtycki książę potrafił narzucić swą wolę całej plejadzie skłóconych państewek. Przeciągnął na swą stronę nawet tych, wcale licznych rodaków, którzy postawiwszy na kartę rzymską grali od początku wojny niesławną rolę Quislingów — kolaborantów. Organizował doborowe oddziały na wzór rzymski, a był to dobry wzór! Stosował wreszcie taktykę walki podjazdowej, na czas, na wyczerpanie, taktykę jedynie właściwą wobec niepokonanych w walnej, otwartej bitwie cezariańskich legionów. Ale Cezar był jednak Cezarem, jednym z najznakomitszych wodzów całej historii. Odrzucony z pod murów Gergowii (stolicy Arwernów), otoczony istnym morzem wrogości, z najwyższym trudem zdobywający żywność i furaż dla swej armii, pozostawał groźny do końca. Wiedział, że do Rzymu może wrócić tylko zwycięzca. Zbyt wielu potężnych nieprzyjaciół czekało tam skwapliwie na jego pierwsze niepowodzenie. Wreszcie zaświtała mu upragniona okazja. Wykorzystał błyskawicznie parę kolejnych błędów popełnionych przez wojska powstańców, pobił je w polu i zmusił do zamknięcia się w niewielkim oppidum — w Alezji. Oblężonych natychmiast otoczył pierścieniem przeszkód i umocnień. Drugi taki pierścień, jeszcze obszerniejszy miał zabezpieczyć armię rzymską przed uderzeniem oczekiwanej gallijskiej odsieczy. Odsiecz przybyła. Cała, pierwszy raz zjednoczona Galia pośpieszyła na ratunek Wercyngetoryksa. Ale legioniści osłonięci podwójną, warowną linią szańców, palisad i wilczych dołów odrzucili wszystkie, rozpaczliwe szturmy obu wojsk powstańczych. Oddziały odsieczy rozpierzchły się, a załoga Alezji wyczerpana głodem musiała kapitulować. I to był koniec Galii celtyckiej. Jej ostatni wódz Wercyngetoryks uświetnił swą osobą triumfalny pochód Cezara, a potem zginął zaduszony w rzymskim więzieniu... Dziwne, że dyktator, który na tle swej krwawej epoki wyróżniał się wielkodusznością wobec pokonanych przeciwników (wielkoduszność tę przypłacił przecież życiem) w tym właśnie wypadku okazał się niskim okrutnikiem. Może dlatego iż dobrze wiedział, że podbój Galii był co się zowie „brudną wojną"? A może także dla tego, że Wercyngetoryksowi zawdzięczał najcięższe chyba chwile swej kariery? Że się go po prostu bał? Największą nienawiść budzi w nas ten kogo skrzywdziliśmy, albo ten kogo musieliśmy się lękać. Taka jest nasza ludzka natura i przed wiekami i dziś.

Celtowie starci na kontynencie Europy przez rzymsko-germańskie kleszcze, utrzymali się dłużej na Wyspach Brytyjskich. Podbijani tam i tępieni zrazu znów przez Rzymian, potem przez Anglosasów, Normanów, wreszcie przez monarchię angielską przetrwali do dziś w Irlandii, Walii i w szkockich górach. Zdążyli nawet w międzyczasie ponownie skolonizować francuską Bretanię. Ich udział w dorobku europejskiej kultury jest niemały, choć mało kto zdaje sobie z tego sprawę. A przecież im to właśnie zawdzięczamy mistyczno-bohaterski cykl legend o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Oni stworzyli pieśń o Tristanie i Izoldzie, gdzie Miłość, Śmierć i Przeznaczenie łączą się w zdumiewającą, nierozerwalną całość. Oni stali się pierwszymi w dziejach literatury piewcami piękna przyrody, traktowanej nie jako pole i tło działalności ludzkiej, lecz jako samoistna, potężna siła, często uosobiona w postaciach niezliczonych duchów, zjaw i elfów. Celtyckie wątki głęboko przeniknęły zwłaszcza do literatury angielskiej (choć nie było większych wrogów niż Anglicy i Celtowie brytyjscy!) Celtami są „Król Lir" i „Cymbelin" Szekspira, a w „Śnie Nocy Letniej" zaglądamy w głąb czarodziejskiego lasu z celtyckiej legendy.

A na co dzień? Wszystkie nasze panie noszące spódniczki w „szkocką kratę", mimo woli hołdują tradycyjnej modzie gallijskiej, choćby nawet nic a nic nie wiedziały o Gallach, Alezji i Wercyngetoryksie.

jeszcze pociąg zatrzymał się zupełnie, dwaj bojowcy, jednym z nich był Jan Kwapiński, wskoczyli na lokomotywę, aby opanować jej lewar. Ale lewar zamknął sam maszynista, kiedy tylko zrozumiał, o co chodzi. Dalej wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością.

Najpierw rozległ się sygnał trąbką i niemal równocześnie z nim gęsty ogień wystrzałów. Było to prawdziwym zaskoczeniem dla stacyjnego „fijoła", o którym Dubrowa zaraportuje: „Usłyszawszy strzały, oddane z kancelarii naczelnika stacji, stojący na peronie żandarmski podoficer Choruk, rzucił się do kancelarii, ale w tym momencie jeden ze złoczyńców rzucił z peronu stacyjnego pod wagon konwoju bombę, a poranieni niżsi rangą żołnierze zostali siłą wybuchu wyrzuceni na ziemię. Oderwany siłą wybuchu dach wagonu spadł na peron i zabił podoficera Choruka".

Raport nie podaje już, że żołnierze, którzy przeżyli wybuch, zaczęli w panice zmykać z terenu akcji i niektórych z nich odnaleziono dopiero po kilku dniach. Ale ślady tej paniki w raporcie, oczywiście, można zauważyć. Jak bowiem stwierdza Dubrowa: „Na miejscu wybuchu przy lustracji znaleziono znaczną liczbę wystrzelanych gilz i magazynków. Z wyżej przedstawionego wypada wnioskować, że żołnierze wojskowej ochrony do wybuchu pierwszej bomby odpowiadali ogniem na ogień bandytów". Fakt, że zachowanie się żołnierzy było przedmiotem szczegółowego dochodzenia władz, przemawia za tym, że istniała wątpliwość, czy ochrona czynnie odpowiedziała na napad. Jedynie naczelnik konwoju, podoficer Winogradow, wyrzucony siłą podmuchu z wagonu, usiłował do niego wrócić po broń, ale został w tym momencie raniony wystrzałami z rewolweru.

Nie zajmując się bliżej sprawą, czy bojowcy rzucili pod wagon z żołnierzami jedną bombę, jak podaje Kwapiński, czy też dwie, z których działanie drugiej miało być wadliwe, gdyż spowodowało pożar wagonu, jak podają raporty rosyjskie, opiszemy jak przedstawiał się teren akcji. Jak już wspomniałem, bojowcy byli podzieleni na siedem oddziałów, z których każdy otrzymał szczegółowe zadanie. Do pociągu strzelano więc z różnych kierunków, oszczędzając wagony ściśle pasażerskie, a koncentrując ogień na wagonie drugim i trzecim, gdzie była poczta i żołnierze. Strzelano z budynku stacyjnego, z peronu oraz z ostatniego wagonu, którym przyjechał VI oddział bojowców. Obserwujący przebieg akcji „wysoki brunet w czarnym kapeluszu" dał wkrótce sygnał trąbką do przerwania ognia. Pierwsza część zadania, opanowanie pociągu, została wykonana. Należało jednak jeszcze dostać się do wagonu pocztowego i odszukać w nim pieniądze, co wbrew pozorom okazało się trudniejsze.

Jadący z pocztą trzej urzędnicy oraz dwaj agenci tajnej policji kolejowej, mimo wezwania bojowców, odmówili otwarcia drzwi wagonu. Droga przez okna była zamknięta, gdyż wagon miał solidne kraty. Trzeba było w mgnieniu oka podjąć decyzję, gdyż łunę pożaru pociągu na pewno dostrzeżono już w pobliskich Koluszkach i w każdej chwili mógł przybyć do Rogowa pociąg z wojskową odsieczą. Mirecki stojący na czele całego oddziału czterdziestu dziewięciu ludzi, podejmuje decyzję przygotowania naprędce petard z dynamitu. Rzucono dwie, jedna po drugiej, wywołując straszliwe spustoszenie w wagonie. Niemal wszyscy urzędnicy pocztowi zostali ranni, najstarszemu z nich rangą, petarda urwała obie ręce.

Droga do wagonu stanęła otworem. Według Kwapińskiego drzwi otworzył lekko ranny pocztylion, według źródeł rosyjskich, zostały wyłamane petardą, ale raporty rosyjskie o wypadkach rogowskich w ogóle mają tendencję do podkreślania oporu urzędników carskich przeciw przemocy bojowców, co ma zapewne wynagrodzić władzom wyższym fakt nieujęcia sprawców napadu.

Bojowcy posiadali informacje o dużej kwocie wiezionej tym pociągiem z Częstochowy. Był to zapewne ów milion, który dostał się na szpalty gazet. Znalezienie go wśród setek worków i pakunków nie było rzeczą łatwą. Urzędnicy pocztowi nie chcieli dać żadnych wskazówek, toteż czas upływał, a bojowcy bez rezultatu przeszukiwali pakiety. Wreszcie od lżej rannego urzędnika wydobyli wiadomość o dwóch workach, w których znajdowało się 50.000 rubli. „Z liczby 6 toreb zostały otwarte tylko 2 i z nich — raportuje Dubrowa — po pierwszych obliczeniach urzędników pocztowych, zabrano papierów wartościowych na sumę nie większą niż 50 tys. rubli".

Dalszych poszukiwań w wagonie pocztowym bojowcy musieli zaniechać słysząc na torach jakiś podejrzany stukot. Były to drezyny z wojskiem wysłane z koluszkowskiego garnizonu. Mirecki zaczął więc organizować odwrót. Przedtem jeszcze polecił zebrać wszystkie karabiny porzucone przez żołnierzy oraz pistolet żandarma Choruka. **Mimo że odsiecz wojskowa zbliżała się już do Rogowa Mirecki wygłosił przemówienie do członków organizacji, po czym cały oddział odśpiewał „Warszawiankę". W czasie tego uroczystego apelu na pobojowisku, nad bojowcami unosił się zatknięty na kiju czerwony sztandar.**

Mirecki z trzema ludźmi i pieniędzmi wsiadł do zarekwirowanej bryczki, reszta zaś oddziału w sile czterdziestu pięciu ludzi miała sobie zapewnić odwrót piechotą. Ustawieni w szyku marszowym, dokonali manewru wypróbowanego już wcześniej przez zwiadowców: zasugerowali, że oddalają się w kierunku Warszawy, aby się skryć w niezbyt odległych lasach. Następnie przecięli jednak tor i posługując się mapą oraz kompasem, pomaszerowali do Łodzi. Odwrót nie przedstawiał się prosto, gdyż wszystkie jednostki wojskowe zostały już postawione w stan pogotowia, a liczyły w sumie około 10 tys. żołnierzy. Do przemykających się bojowców zbliżył się na odległość kilku niemal kroków oddział Kozaków, wysłanych z Brzezin, ale ich nie spostrzegł. Nie zatrzymani zbliżyli się do Gałkówka, gdzie ponownie przekroczyli tor kolejowy i obierając kierunek na Olechów, znaleźli się wreszcie parę minut po piątej rano na Chojnach. **Zdążyli więc na ranną zmianę w fabryce, a obecność w pracy była najlepszym alibi i mogła uchronić ich przed aresztowaniem.**

W tym samym mniej więcej czasie wrócił do Łodzi Mirecki i jego ludzie, konwojujący pieniądze. Pod Zgierzem powierzyli oni zdobyczną bryczkę wieśniakowi, który nazywał się Mirowski i 9 listopada około godz. 14 zameldował w urzędzie gminnym w Łagiewnikach o rannym spotkaniu z dziwnymi gośćmi, ubranymi w czarne kapelusze.

Rozesłane patrole wojskowe jeszcze przez trzy dni po napadzie odnajdywały miejsca przemarszu bojowców. **Cały ten pościg był, oczywiście, już zbędny, bojowcy pozostali nieznani do samego końca panowania caratu w Polsce.** Trzeba było jednak pokazać swoją gorliwość przed władzami wyższymi, gdyż niezależnie od zarekwirowanej kwoty, władze straciły na zawsze trzech żołnierzy, z liczby trzynastu rannych, żandarma Choruka oraz jednego z urzędników pocztowych. Bojowcy w potyczce nie stracili nikogo, żaden z nich nie był nawet ranny. Na wszelki wypadek dygnitarze guberialni fałszowali raporty, podając w nich, niezgodnie z prawdą godzinę, w której dowiedzieli się o Rogowie.

Pomimo to sześciu uczestników wyprawy rogowskiej zostało w późniejszym czasie aresztowanych. **Wśród uwięzionych znajdował się także Montwiłł-Mirecki, którego nazwiska władze nigdy się nie dowiedziały. Tym niemniej udowodniono mu udział w napadzie na pociąg pod Łapami, za co 6 października 1908 r. sąd wojenny skazał go na śmierć przez powieszenie.** Wyrok został wykonany w trzy dni później. Innym uczestnikom wyprawy rogowskiej władze mogły udowodnić przestępstwa nieporównanie mniejszego kalibru. Zostali skazani na bezterminową katorgę.

ROMAN ŁOBODA

AUTOPORTRET

„W obcowaniu ze szczęściem przeszkadza nam nienasycenie; w dążeniu do szczęścia pomaga nam nienasycenie".

Po wszystkim, co widziałem i czego nie widziałem; co słyszałem i czego nie słyszałem nie mam już odwagi nie wziąć tego zdania w cudzysłów.

Muszę wszystko zacząć od początku.

Nawet twarz tego dziecka, po której tysiące razy przesuwałem palce, mam ją w każdym milimetrze skóry i wyobraźni; nawet twarz tego dziecka jest mi obca. To niewiarygodne, że przez tyle miesięcy w dzień i w nocy twarz ta była prawie moją twarzą. Tylko czasami, gdy budziłem się z głębokiego snu, napadało mnie gwałtowne przerażenie; to nie jest moja twarz! Nic w niej nie ma ze mnie! Oszustwo!

Wstawałem i cicho podchodziłem do łóżeczka. Pod palcami wyrastało jak zwykle, wszystko; zmniejszona i gładka kopia mojej zniszczonej zgryzotą i alkoholem fizjonomii.

Anna nie widziała, albo może udawała, że nie dostrzega moich dziwnych (dziwnych!?) manipulacji.

Kładłem się z powrotem na tapczan nie tyle z uczuciem uspokojenia, co przekonaniem, że nie jestem ofiarą oszustwa lub mistyfikacji. Zasypiałem aż do następnego seansu rzeźbienia autoportretu w plaźmie niemowlęcej twarzy.

To było wyczerpujące. Ponad siły, ale bliższe tego, co usiłuję pojmować jako szczęście; inne niż pierwszy dzień, dzień ujrzenia tej plazmy zapłakanej), czerwonej i niepodobnej do czegoś ze mnie.

Oczywiście, że chciałem tego dziecka. Chciałem, to mało. Ja go namiętnie pragnąłem... żebym do końca życia tylko pragnął! Ale nie! Tak jest dobrze, właśnie tak jest lepiej. Wreszcie wiem wszystko o sobie i Annie. Wszystko? Wydaje mi się.

Anna z początku chciała mieć dziecko; lecz później, po paru latach, nie. Stanowczo nie! Odwrotnie niż ja.

Nie pamiętam dokładnie kiedy się to zaczęło u mnie. Jasne, że nie chodziło mi o przewijanie śpiącego stwora, ani pranie pieluszek, ani uspokajanie maszynki do wrzeszczenia grzechotką. Nawet te dumne celebracje z rączką w ręce po parku; człowieczek z pulchnymi nóżkami, niebywale inteligentny brzdąc i zasłuchanie w genialny szczebiot — nawet nie to, i nie owoc miłosnej kopulacji. Ale co? Przekora? Chyba też nie, bo naprzód niewyraźna ciekawość, jakby chęć prześledzenia w inkubatorze cyklu łączenia się chromosomów, ich rozkwitania, ujawniania genów — owocowania.

Więc autoportret z podtekstami, z dnem genealogicznym, z pychą i chęcią przeżycia samego siebie. Popularny i najłatwiejszy sposób przekazania siebie życiu i ziemi. Coś, na co największe cymbały i najwięksi geniusze nabierają się od niepamiętnych czasów, a dzięki temu i ja, być może, jestem.

Niezależnie od tego co dziś o tym myślę, wówczas z maniackim uporem powtarzałem odpowiednie zabiegi, skłaniając Annę do przejęcia się sprawą, jakby ona, ona kobieta nie czuła tego, nie rozumiała każdą swoją komórką znacznie lepiej ode mnie.

Ale nie chciała. Nie chciała nawet słyszeć o tym. Tłumaczyła, że jeszcze mamy dużo czasu, że styl życia, jaki prowadzimy, jest zgodny z naszymi naturami, a wprowadzenie „czegoś nowego" — unikała właściwego określenia — może zniweczyć nasze szczęście, naszą miłość.

Więc gdy ujrzałem tę ludzką plazmę niepodobną do niczego, co było mi bliskie, te oczki chabrowe i dyniasty kształt czaszki, to targnęło mną, jakbym nie w szpitalu, ale z elektrycznego fotela oglądał tego człowieczka.

Pić zacząłem już przedtem. Piłem coraz więcej. Anna raczej nie. Mogła mi towarzyszyć. Nie szukałem towarzystwa innych kobiet, gdyż wówczas kontynuowałem swoje zabiegi „genetyczne" wyłącznie z Anną. Był to prawdopodobnie jeszcze jeden błąd. Ta wyłączność opóźniła moje zrozumienie sytuacji.

Annie po pewnym czasie zabrakło sił do wyciągania mojego sflaczałego ciała z lokali, wciskania go do taksówek i wleczenia po schodach.

Więc gdy ujrzałem z wysokości wstrząsu elektrycznego ten falsyfikat moich możliwości, to poczułem coś, jakby gwałtowną i bolesną infekcję. Anna leżała blada i miała oczy przymknięte. Zapytałem jak się czuje; odpowiedziała, że dobrze i nie podniosła powiek. Milczałem. — Czy cieszysz się? — wyszeptała. — A ty — zapytałem. — Myślę, że wystarczy żebyś ty był szczęśliwy — odparła po chwilowym namyśle.

Była bardzo blada i nie podnosiła oczu. Zrozumiałem nagle dlaczego, gdy obwieściła mi tę radosną dla mnie nowinę, że jest w ciąży, nie przestałem pić; piłem nawet więcej. Powiedziała krótko: — Jestem w ciąży. — Lakonicznie, bez cienia radości; unikała mojego spojrzenia. Od tego dnia zrodziła się moja nieufność do Anny. Piłem i czekałem na ten autoportret.

W tym czasie broniłem się przed myśleniem o Annie i o sprawie; jeżeli zaś narastało we mnie uczucie niechęci do Anny, to chyba wbrew jej usiłowaniom: była dla mnie dobra i czuła.

Po oględzinach mojego pierworodnego natychmiast poszedłem do knajpy.

Nazajutrz poszedłem do szpitala. Milczeliśmy.

Lekarz powiedział, że wzywano mnie do Anny. Źle się czuła i chciała mnie widzieć.

Nie mówiliśmy o tym nigdy. Może Anna po tej nocy uznała to za niepotrzebne, a może po prostu nie mieliśmy kiedy, gdyż Anna pracowała, a ja po pracy szedłem na obiad do knajpy i przychodziłem, gdy już spała.

Nie zdradzałem jeszcze wówczas zainteresowania dla owocu kopulacji Anny. Z odwróconą do ściany twarzą zasypiałem.

Przyszło to nagle, bo pewnej nocy stało się zupełnie czarno. Tak czarno, że najsilniejsze światło nie mogło tej czerni zdjąć z moich oczu. Ktoś, nie pamiętam kto, postawił mnie pod drzwiami, zadzwonił i pchnął na Annę.

Ale zapomniałem powiedzieć, że parę tygodni przed tym wydarzeniem straciłem pracę. Wylano mnie za pijaństwo. Byłem niezłym inżynierem. Samochód, już dawno, podczas ciąży Anny, sprzedałem; później telewizor, radio, odkurzacz — oczywiście na wódkę. Wreszcie zacząłem swoje i Anny osobiste rzeczy sprzedawać. Straciłem pracę, nie było co sprzedawać i zaczęło się, co musiało się zacząć.

Nie muszę chyba nikogo uświadamiać, co to jest łaknienie, a tym bardziej alkoholu. Nie muszę również tłumaczyć, że po tym wszystkim, co zaszło, nie miałem żadnej racji, by walczyć z nieźle już zaawansowanym nałogiem. Było mi nawet z tym lepiej.

Dwóch brakarzy z zakładu, w którym pracowałem (zdaje się również wylani), powiedziało: — jesteś pan, panie inżynierze, napletek i nie ma się czego bać. Spirytus metylowy. A czy ja się czegoś bałem?

Nie wiem kto mnie wtedy wepchnął prosto w nocy w objęcia Anny, ale noc trwała cały dzień pierwszy i drugi i wiele innych.

Wtedy zacząłem to rzeźbienie. Rzeźbienie od nowa kilkumiesięcznego potomka. Miałem wiele czasu. Anna milczała. Mogła nie zauważać tego rzeźbienia; zresztą nie wiem. Miałem wtedy wiele czasu i mogłem rozmyślać. Nie pamiętam co było pierwsze, rzeźbienie czy rozmyślanie; w każdym razie były nierozerwalne.

Jedna rzecz wydała mi się niezrozumiała, gdy usiłowałem uporządkować tok przyczyn i skutków w tej całej sprawie; nagła zmiana, która nastąpiła przed kilku laty w Annie. Ona przecież pierwsza i od początku chciała. Nie była taka natarczywa jak ja w późniejszym okresie, ale bardzo chciała. Ja w początkach naszego małżeństwa, wolałem nie zmieniać trybu naszego życia. Otóż ten przełom — a może upewniona po bodaj dwu latach decyzja — nastąpił w niej nagle. Anna wróciła pewnego wieczoru od fryzjera, mocno podenerwowana i powiedziała ni stąd ni zowąd: masz rację, nie musimy jeszcze zmieniać trybu życia. Tak jest dobrze. Kochamy się, jesteśmy zajęci wyłącznie sobą, a dziecko, wiesz, mogłoby mnie za bardzo absorbować, mógłbyś poczuć się mniej kochany. Mamy jeszcze dużo czasu. Poczekajmy.

Anna była bardzo młoda, gdy ją poznałem. Było w niej coś z małej dziewczynki, lecz w sprawach ważnych zawsze wykazywała więcej powagi i odpowiedzialności ode mnie. Dziś wiem, że zawsze była starsza ode mnie, znacznie starsza. Pokochaliśmy się, jak to się mawia, od pierwszego wejrzenia. Zawsze wydawało mi się, że Anna nie kłamie, a przynajmniej nie lubi kłamać, gdyż nie było w niej pruderii ani tchórzostwa — tak uważałem. Nie byłem jej pierwszym mężczyzną. Wyznała mi to przed ślubem zwyczajnie i bez zbytecznych komentarzy. Było nam dobrze niezależnie od tego, że kochaliśmy się. Wydawało mi się nawet, że rozumiem Annę, jak wydaje się na ogół, gdy się kocha i jest się kochanym: co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Dopiero, gdy podjęła tę decyzję, a właściwie zgodziła się tak nagle z moim stanowiskiem, dopiero wtedy coś zaczęło kiełkować.

A może okoliczności, które temu towarzyszyły?

Jej obcość czy oziębłość, gdy powiedziała — z tym możemy jeszcze poczekać. — Zakiełkowało coś, niby żal, niby zdziwienie; jakaś do Anny pretensja, która zamieniała się w nieufność. A decyzje Anny były prawdziwe i trwałe. Nigdy nie uciekała się do sztuczek czy prowokacji. Zacząłem zapominać, że to właśnie ja nie chciałem, a Anna jedynie zgodziła się z moim stanowiskiem. — Skąd tak nagle? Dlaczego bez żalu?! Pewnie mniej już mnie kocha! — Sądziłem, że nie może być innych przyczyn, tylko niepewność uczucia narastająca i nagle uświadomiona może spowodować taką zmianę w kobiecie. Moja mizerna znajomość psychiki człowieka, a w szczególności kobiety, opierała się na — prawdopodobnie gdzieś zasłyszanym — stwierdzeniu, że kobieta, która kocha mężczyznę zawsze i to prędko chce mieć z nim dziecko. Wyjątków i wariantów nie rozważałem.

Po prostu — wydaje mi się teraz — nie znałem, a może nie znam podstawowego słownictwa dla tych mutacji. Nie jestem humanistą, tak jak Anna. Więc zacząłem ją podejrzewać. Dalej bywaliśmy na koncertach (muzyka poważna cholernie mnie nudziła, ale ukrywałem to przed Anną), w teatrze, u znajomych...

Właśnie u znajomych lub w lokalu wzmagała się we mnie czujność. — „Ten tryb życia nam odpowiada. Poczekajmy. Mamy wiele czasu..." powtarzałem w myśli jej słowa, których ja ją nauczyłem.

— Ten tryb życia ci odpowiada — myślałem — to znaczy, co ci odpowiada? Może ten brunet, do którego tak się pięknie uśmiechasz? A może ten szykowny, łysawy z aksamitnym głosem, który mówi — pani jest urocza — przeciągając słowa znacząco. Skąd wie, że jesteś taka urocza? — Podobają ci się jego bary?...

Byłem coraz bardziej rozdrażniony. Chodziliśmy nadal razem, ale to już nie to, co dawniej.

Każde spojrzenie Anny, to wyzwanie rzucone mężczyźnie. Później nawet doszedłem do tego, że: — tak ci odpowiada, z tym byś się przespała — myślałem — z tym byś chciała mieć...! Gorąca fala zalewała mi mózg. Mimo wszystko stać mnie było na milczenie. Nie robiłem Annie scen; nawet wymówek. To zapewne ratowało mnie w jej oczach. Nie mogła tego nie zauważyć, że po każdym wieczorze pełnym jej wymownych spojrzeń, uśmiechów, gestów upokarzających mnie, po każdym takim wieczorze milczałem. Bywałem tylko zawsze nieco więcej pijany niż poprzednio. Ale milczałem. Nie mogła mi zarzucić, że nie jestem mężczyzną. Muszę sobie również pochlebić, nie, przyznać sprawiedliwie, że często bywałem brutalny.

Zdaje się, że w tym czasie wymyśliłem — ściślej, przemyślałem i zmodyfikowałem — tę teorię o chromosomach, genach, portretach, itp.

Ale nim nadeszła ta długa i czarna noc — przejrzałem, zobaczyłem tę plazmę ludzką do niczego niepodobną. Wtedy nim zacząłem rzeźbić swoją twarz po omacku i po kryjomu, wtedy przejrzałem.

Później wymyśliłem to powiedzenie czy definicję: (a może przyszło to do mojej ciemności i ciszy gdzieś z zasłyszenia?).

W obcowaniu ze szczęściem przeszkadza nam nienasycenie, w dążeniu do szczęścia pomaga nam nienasycenie.

W ciemnościach zarysowała mi się nadzieja powrotu do utraconego szczęścia. Uświadomiłem sobie wyraźnie, że z Anną byłem szczęśliwy. Może właśnie dlatego opanowała mnie ta nienasycona pasja rzeźbienia własnej twarzy w tamtej, niemowlęcej. Sądziłem, że ugniotę tę plazmę na wzór i podobieństwo swoje, a jeżeli ją tak ugniotę, to zapełni się moimi genami, mną.

Teraz pojmuję, że nie rzeźbiłem. Szukałem, zwyczajnie szukałem podobieństwa. Ale przez te miesiące ciemności wydawało mi się, że ugniatam, że zmienia się. Mógł zmienić się przez tak krótki czas kolor oczu, kształt czaszki?!

Co noc, gdy Anna już spała, wodziłem palcami po tej twarzy coraz bardziej mojej, coraz bliższej i Anna jakby się oczyszczała.

Anna rano zabierała dziecko do żłobka, i jechała do pracy. Ja miałem przygotowane śniadanie, wstawałem. Później Anna wracała, gotowała obiad i jedliśmy. Nic nie mówiliśmy. Trwałem w ciemności i milczeniu. Dopiero gdy Anna kupiła „Pioniera" wdarły się w to dręczące milczenie słowa ludzkie wychodzące poza zakres niezbędnej i prymitywnej informacji: — Jest obiad. Tu kładę papierosy. Łóżko pościelone. — Anna nigdy nie przekraczała tego nieumawianego, ale umownego progu słownictwa. Ja odpowiadałem na ogół tylko trzema słowami: tak, nie, dziękuję. Być może — czekałem. Gdy opadł ze mnie wstręt do Anny, czekałem na coś, co byłoby skróceniem tej drugiej, niefizycznej nocy. Milczała. Widocznie nic nie miała do powiedzenia.

Więc radioodbiornik był moim jedynym rozmówcą i przekaziciełem świata. Przy pomocy radia orientowałem się w czasie i wiedziałem co dzieje się w mieście i to niesłychanie ułatwiało mi, no i oczywiście warunkowało, system kontroli.

Znałem rozkład pracy Anny, jej zwyczaje, orientowałem się w czasie potrzebnym na zakupy, fryzjera itp. Wyostrzył mi się węch i dotyk, więc nie sprawiało mi większej trudności odgadywanie gdzie Anna była i co załatwiała. W przeliczeniu czasu niezbędnego do załatwienia tej czy innej sprawy i ich sumowaniu uwzględniałem jeszcze poprawki oraz stosowałem metody porównań i prawdopodobieństwa. System działał nienagannie i po pewnym czasie mogłem wyciągnąć wnioski. Wyciągnąłem generalny: — Anna nie miała nikogo. Przeświadczenie o jej ówczesnej wierności być może przyśpieszyło proces rzeźbienia.

Gdy autoportret był już na ukończeniu, gdy już, już miałem przetworzyć tę plazmę, wyrzeźbić ją własnymi palcami na obraz i podobieństwo swoich genów (jakby owe geny stanowiły bezcenną wartość do przekazania światu), gdy wszystko to już prawie miałem ukończyć — noc się skończyła.

Zasłona na oczach przepuściła nikłe promyki światła, przedmioty zaczęły niewyraźnie majaczyć — przejrzałem; fizycznie przejrzałem!

Nie wspomniałem, zdaje się, że Anna regularnie odprowadzała mnie do kliniki, że kupowała lekarstwa, podawała, zdaje się o tym zapomniałem.

Tak więc zostałem uratowany. Wystarczyło zatem wrócić, po prostu wrócić do tego co było, co na pewno rozpoznałem jako szczęście.

Nim jednak do tego doszło wzrok mi się na tyle poprawił, że mogłem dokładnie obejrzeć swoje dzieło, tę plazmę rzeźbioną nocą, autoportret z pamięci.

Ujrzałem, znów ujrzałem z wysokości fotela elektrycznego, twarz niemowlaka pyzatą, z jasnymi oczkami, junkierską — w niczym niepodobną do mojej.

I wymyśliłem coś naprawdę mądrego i prawdziwego: poszedłem do lekarza, do endokrynologa. Wszystko się zgadza; i to, co myślałem o Annie i to, co podejrzewałem u siebie. Ani jej, ani żadnej innej kobiecie nie przekażę swoich genów!

Anna pierze pieluchy. Niech pierze. To jej obowiązek. Dostałem rentę. Wyżyć z tego trudno. Idę ostrożnie, żeby nie upaść na schodach. Zawsze po obiedzie wychodzę na róg do restauracji i wracam, gdy oni już śpią. Trzeba jeszcze raz od początku wszystko przemyśleć.

Angielska poezja miłosna

PERCY BYSHE SHELLEY

PIOSENKA

Płacze owdowiały ptak za ukochaną;
Pozostał samotny na drzewie zimowym.
W górze przepływają wiatry mroźną ścianą,
W dole potok zamarł w więzieniu lodowym.

Dawno żółte liście utonęły w bieli,
Na ziemi od dawna nie ma żadnych kwiatów,
Tylko młyn swym kołem chce ciszę rozdzielić,
Tylko wiatr tej ciszy nie chce oddać światu.

DYLAN THOMAS

NA ŚLUB DZIEWICY

Leży samotna w powodzi miłości, a światło poranka
Zdumione jej bezsenną twarzą dostrzega
Dzień wczorajszy uśpiony w jej oczach.
Słońce już wybiegło na niebo i jest daleko od jej łona
Czy cud dziewictwa jest tak stary jak chleb i ryby?
Przecież chwila cudu jest wiecznym błyskiem,
A w Galilei ślady stóp ukryły flotylle gołębi.
Drgania słońca nie będą dotykały jej poduszki
Głębokiej jak morze, na której ją poślubiono.
Jej serce, uszy, oczy i usta chwytają lawinę
Złotego ducha, który ją otoczył swoim strumieniem
Zwiastując jej ciału. On pod jej oknami gdzie wisza zasłony
Zostawił swoje złoto. A mężczyzna śpi. I ogień już przygasł,
A ona w jego ramionach poznaje inne słońce,
Tajemnicę krążenia krwi.

H. BELLOC

JULIA

Czy na Portman Square bawiłeś się miło?
Powiem ci tylko, że Julii nie było.
Jak się wczorajsza zabawa udała?
Nic nie pamiętam: Julia przy mnie stała.

SHEILA WINGFIELD

ZIMA

Drzewo wciąż się schyla nad jeziorem
Jak przypomnieniem miłości,
Naszej miłości,
Na której tyle liści było...

Tłumaczył ROMAN GORZELSKI

KIM BYŁ ANDRZEJ STRUG?

Bodaj w marcu 1938 roku odbyła się w Warszawskiej Bibliotece Publicznej przy ul. Koszykowej pośmiertna wystawa rękopisów i pamiątek literackich Andrzeja Struga. Wystawie którą zwiedziłem z ogromnym zaciekawieniem, patronowała wdowa po pisarzu, Nelly Strugowa, chętnie udzielająca wyjaśnień i dodatkowych informacji. W pamięci pozostały mi barwne rękopisy Struga. Każdy rozdział swej powieści zaczynał on od narysowania winiety, pociągał kredką pierwsze duże litery poszczególnych akapitów, do pisania używał papieru w różnych kolorach, co w sumie dawało piękne wrażenia optyczne. Na wystawie zgromadzono również przekłady dzieł Struga na języki obce. Było tego sporo, zwracały uwagę egzemplarze holenderskie, które pod względem graficznym górowały nad innymi.

Od tego czasu minęło blisko lat trzydzieści. Strug jako pisarz podlega procesowi zapomnienia, nie uwzględniony w lekturze szkolnej, staje się dla młodego pokolenia autorem zupełnie nieznanym. Z żadnym z autorów polskich, którzy odeszli w latach trzydziestych, los nie obszedł się tak po macoszemu jak z nim. Czyja w tym wina? Pisarza, którego dzieła zestarzały się nader szybko, czy nasza, że za mało poświęcamy mu troski i uwagi? Właśnie ukazała się książka, która wprowadza nas na orbitę zainteresowań Andrzejem Strugiem. Po tomie wspomnień o Gałczyńskim, Tuwimie i Nałkowskiej, otrzymaliśmy kolejny tom zbiorowych wspomnień o Strugu, pod redakcją i ze słowem wstępnym badacza jego twórczości i autora monografii o nim — Samuela Sandlera. Autorzy wspomnień mówią to, co już o Strugu wiemy: że był patriotą, socjalistą, mimo iż wyszedł z legionów — antypiłsudczykiem, człowiekiem szlachetnym i z charakterem. Piękna postać, fascynująca i urodziwa. Kochały się w nim pensjonarki — jak wspomina Wanda Melcer — wszędzie, gdzie się pokazał, zwracał na siebie uwagę. Niezłomność charakteru Struga budzi podziw. W środowiskach artystycznych i literackich charakter to zupełna rzadkość. Jakże często artyści i pisarze dowodzą postępowaniem swym czegoś wręcz przeciwnego. Twórcy pięknych postaci, powołujący do życia bohaterów i tzw. mocnych ludzi — sami są ich całkowitym zaprzeczeniem. Może talent literacki jest rekompensatą za niedostatki we własnym życiu pisarzy? Trudno dociec. W każdym razie jest faktem powszechnie (czy też niepowszechnie) znanym, że wybitny pisarz rozczarowuje nas często jako człowiek, że jest zaprzeczeniem tego, co głosi w swoich książkach. Strug stanowi wyjątek. Przeszedł przez życie jak bohater, nie sprzeniewierzył się swoim ideałom, zachowując im wierność do śmierci. Potrafił oprzeć się wielu pokusom sławy i uznania, na które tak łasi są artyści i pisarze. Gdy powstała Polska Akademia Literatury i Strugowi zaproponowano fotel akademika — odmówił, bo nie chciał zasiadać razem z ludźmi, których uważał za swoich przeciwników ideowych.

„Wspomnienia o Andrzeju Strugu" przynoszą sporo materiału o nim jako działaczu, mniej jako pisarzu. I chociaż wiele z tych materiałów znaliśmy już wcześniej, z publikacji prasowych, czytamy je z nowym zainteresowaniem. Żądni wiedzy o autorze „Żółtego Krzyża". Ze Strugiem jest trochę tak jak z Bolesławem Prusem: nie posiadamy pełnych wiadomości o jego życiu. Jeśli można ten brak zrozumieć jakoś w odniesieniu do Prusa (zmarł w r. 1912), to z trudem przychodzi nam pogodzić się z tym przy Strugu, który zmarł znacznie później (w 1937 roku). Wspomnienia sporo nam mówią o jego dzieciństwie, latach szkolnych, działalności niepodległościowej i uwięzieniu, natomiast mało przynoszą informacji o jego życiu w okresie między wojnami. A już niewiele światła pada z tych wspomnień na jego twórczość. Nie dowiadujemy się prawie nic o jego warsztacie twórczym, o zainteresowaniach literackich, nie wiemy co czytał i jakie były jego poglądy na rolę literatury polskiej, na rozwój powieści itp.

Trochę szczegółów tego rodzaju przynosi wspomnienie Nelly Strugowej, ale rozbudza ono jedynie naszą ciekawość, nie zaspokajając jej bynajmniej. Edward Kozikowski, sekretarz Związku Literatów Polskich przez całe dwudziestolecie międzywojenne, stykał się ze Strugiem często, który przecież był inicjatorem powołania do życia organizacji pisarskiej i jej prezesem. Ale i we wspomnieniach Kozikowskiego Strug pokazany jest bardziej jako działacz, niż jako pisarz.

W ogóle można by rzec, że Strug-działacz przesłonił Struga-pisarza. Toteż z łapczywością rzucamy się na te fragmenty wspomnień, które pokazują go w dniu powszednim: w domu i przy pracy. Cieszy nas (a w każdym razie mnie) szczegół, podany przez Juliana Burgina, że Strug miał poczucie humoru i bardzo lubił herbatę. Bo te wspomnienia zanadto Struga ubrązowiają, Strug zanadto jest w nich pomnikowy, za mało ludzki. A przecież wszyscy głoszą, że był to człowiek wspaniały! W wielu wypadkach musimy wierzyć autorom wspomnień na słowo.

Zdaje się jednak, że sam Strug za mały zrobił użytek w twórczości z przymiotów swej osobowości i talentu. Nelly Strugowa przytacza w swoim wspomnieniu jego słowa o tym, że chciałby pisać inaczej, dać upust pełnej swej fantazji, ale się krępuje. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie wyznanie to stanowi klucz, wyjaśniający stagnację się dzieł pisarza. Strugiem jako pisarzem zanadto zawładnął ideolog, który go skrępował i nie pozwolił odetchnąć jego dziełu pełną piersią. Na dziełach Struga zaciążyła jego obywatelskość, jego patriotyzm, jego poczucie misji politycznej. Gdyby Strug jako pisarz zbuntował się nieco, gdyby wyzwolił się z surowej dyscypliny działacza, a bardziej poddał się instynktowi pisarskiemu, jego dzieło zajaśniałoby pełniejszym blaskiem. Strug to czuł, świadczą o tym jego napomknienia w rozmowach z żoną.

Byłoby przesadą i nietaktem mówić o niezrealizowaniu się talentu. Strug jest pisarzem znakomitym i jego twórczość doczeka się z pewnością renesansu. A przynajmniej niektóre jego utwory mogą na to liczyć. Nie da się jednak zaprzeczyć, że nie złożył w swoich utworach wszystkich darów, w jakie wyposażyła go natura jego pisarskiego talentu. Gdyby pożył dłużej, dałby nam dzieła pełniejsze i bogatsze. Dowodzi tego niedokończona powieść „W Nienadybach byczo jest". Książka wspomnień o Andrzeju Strugu to lektura tyleż optymistyczna, co i smutna. A dla pisarzy winna być nadzieją i przestrogą. Granice naszego życia i naszej działalności nie mogą być granicami naszej literatury.

Jan Koprowski

Książki nadesłane

Stefan Flukowski — RZEKA GWIAZDY — LSW, cena zł 10.—.

Mieczysław Klimowicz — POCZĄTKI TEATRU STANISŁAWSKIEGO 1765–1773, cena zł 50.—.

Włodzimierz Krzemiński — ZGAŚ PAPIEROSA, JACK — Czytelnik, cena zł 11.—.

Edward Hanke — TRUDY I OCZEKIWANIA — Czytelnik, cena zł 28.—.

Julian Przyboś — CZYTAJĄC MICKIEWICZA — PIW, cena zł 15.—.

Wojciech Kawiński — NARYSOWANE WE WNĘTRZU, WL, cena zł 10.—

Stanisław Werner — 500 ZAGADEK FIZYKI, WP, cena zł 15.—

Stanisław Lem — CYBERIADA, WL, cena zł 35.—

Wiktor Basielich — HISTORIE STAROSĄDECKIE, WL, cena zł 35.—

Edward Crupak — KULT RELIGIJNY I JEGO SPOŁECZNE PODŁOŻE, LSW, cena zł 50.—

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

PROPOZYCJE CZYLI HUMANIZM UPROSZCZONY

Widzenie świata, które proponuje Jerzy Waleńczyk w swoich ostatnich wierszach *) wydaje się być propozycją pewnej drogi poetyckiej, propozycją stawianą sobie samemu. Dotyczy ona nie tyle własnego warsztatu twórczego, i środków wyrazu, ile zakresu problemów, którymi poeta postanawia zająć się w swojej twórczości.

Waleńczyk widzi świat współczesny jako chaos wśród którego człowiek usiłuje znaleźć swoje miejsce i swoje szczęście. Paradoks jednak tkwi w tym, że chaos świata jest dziełem człowieka, dziełem pewnej obiektywnej konieczności, która zawarta jest zarówno w historii jak i we współżyciu społecznym ludzi. Dlatego jednostka staje się bezbronna wobec sił wytworzonych wskutek działalności szeregu podobnych sobie jednostek.

Są to stwierdzenia nieco banalne, niemniej jednak zawsze prawdziwe. Nie byłoby w tym nic dziwnego, że tego rodzaju problemy fascynują współczesnego poetę. Jednak, aby przenieść je do twórczości artystycznej unikając przy tym banału — artysta musi wysunąć w dziele swoim próbę rozwiązania tych zagadnień, propozycję wyjścia z przedstawianego impasu. Można także stwierdzić, że żadnego „wyjścia" nie ma — byłoby to jednak unikiem, i to unikiem zbyt trafistycznym. Waleńczyk zdaje sobie z tego sprawę. Jednakże proponując swoje rozwiązanie, ogranicza się co najwyżej do jakichś nakazów o charakterze naiwnoewangelicznym. Zacytować tu trzeba charakterystyczne imperatywne frazy z tytułowego wiersza tomiku:

Zadzwoń, biały telefonie
Zgody (...)
Zadzwoń, telefonie, proszę cię
serdecznie,
Zanim chmury radioaktywne,
krążące upowszechnią łzy (...)
Obróćcie się, przekonania,
twarzą do siebie (...)
Obywatele, wołajmy o
Piękno (...)

Wobec brutalnych niejednokrotnie konkretów, jakimi operuje Waleńczyk przedstawiając czytelnikowi swoją wizję świata i rzeczywistości — podana czytelnikowi propozycja rozwiązania problemów jest zbyt idealna, aby mogła uzyskać praktyczne urzeczywistnienie. Intencje poety nacechowane są niewątpliwie szczerym humanizmem, ale przecież anachroniczne wydaje się wołanie o Miłość, Piękno i Dobro w zestawieniu z przerażającym obrazem radioaktywnego świata w „szóstym roku kosmicznej ery".

Jerzy Waleńczyk w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

Przed zupełnym uproszczeniem przedstawionych zagadnień broni się Waleńczyk stosując nierzadko gryzącą ironię, przechodzącą najczęściej w sarkazm i jawne szyderstwo:

Pod krzyżkiem leży godność
z mordą mokrą
I merda ogonem, bo właśnie
Kataklizm rzuca kostkę,
uważaj, bo połkniesz (...)
(Anachronicznie)

Właśnie w tego rodzaju fragmentach słowo poetyckie Waleńczyka nabiera szczególnej mocy i potrafi silnie oddziałać na odbiorcę. Wtedy znajduje swój wyraz szczere zaangażowanie poety w sprawy przez siebie poruszane; wtedy autor ostro i wyraźnie przeciwstawia się nienawiści, złu i brzydocie. A ukazanie czytelnikowi Zła często więcej znaczy, niż nawoływanie do Dobra. Funkcja Pierwszego Apostoła, którą usiłuje przejąć Waleńczyk została już dawno skompromitowana; normatywizm etyczny wobec „rekordów śmierci" staje się rzucaniem słów na wiatr. Autor „Białego telefonu" zdaje sobie sprawę z wychowawczych funkcji poezji, ale jego nakazy moralne wobec człowieka i ludzkości w zestawieniu z obrazem świata współczesnego — nabierają charakteru ironicznego: jest to już jednak ironia nieświadoma, niezamierzona przez poetę.

Trudności, z jakimi zetknął się Waleńczyk na swojej drodze poetyckiej, są trudnościami typowymi dla współczesnej poezji zaangażowanej. Wynikają one ze szlachetnej chęci poetów, by — słowo poetyckie sprostało wyrazowi coraz to nowych problemów stwarzanych przez rzeczywistość, by wyprzedziło rzeczywistość w rozwiązaniu tych problemów. Poezja taka jest więc bezustannym poszukiwaniem wzorca ideowego, będącego kanonem nie tylko dla samego autora, ale przede wszystkim mającego się stać kanonem postępowania dla odbiorcy.

Taką szlachetną pasję znajdziemy w większości wierszy łódzkiego poety. Zamierzona oszczędność słowa, której towarzyszy precyzja w konstruowaniu obrazu poetyckiego, beznamiętny i rzeczowy dyskurs z samym sobą i z czytelnikiem — wszystko to składa się na zbudowane z precyzyjną niekiedy logiką wiersze Waleńczyka. „Biały telefon" jest już czwartym tomikiem jego wierszy. Zestawiając go z poprzednim zbiorkiem, dostrzec możemy wyraźną dążność poety do przejścia od subiektywnego monologu lirycznego o charakterze elegijnym do zintelektualizowania słowa poetyckiego. W ślad za tymi zmianami wysuwa Waleńczyk humanistyczną propozycję wyjścia z sytuacji zagrożenia, w jakiej znajduje się świat i człowiek współczesny. Propozycja ta nie zawsze jest daleka od uproszczeń, z czego jednak poeta często zdaje sobie sprawę broniąc się przed ewentualnym błędem ironią i autoironia. Tak jest na przykład w jednym z najlepszych utworów omawianego tomu, w wierszu pt. „Równanie natury":

Ten chłopak, który wyrośnie
na Boga,
Zna równanie natury, ale go
nie ujawni,
Ponieważ ma dosyć taktu,
aby nie pozbawiać nas
samotności.

*) Jerzy Waleńczyk: „Biały telefon". Wydawnictwo Łódzkie 1965, str. 52, nlb. 4, cena zł 5.

PÓŁKA z książkami

ZWEIG O BALZAKU

Podobno, żeby zrozumieć w pełni artystę, samemu trzeba mieć duszę artysty. Potwierdzeniem tego mógłby być „Balzac" Stefana Zweiga. Książka ta jest szczególnie interesująca: wielki, światowej sławy pisarz współczesny, daje zbeletryzowaną biografię jednego z najwybitniejszych pisarzy minionego stulecia. Przebogatą, skomplikowaną, pełną wewnętrznych sprzeczności sylwetkę Balzaka ukazuje w jej całej różnorodności. Nie ma tu sztucznego podziału: Balzac-człowiek i Balzac-artysta. Zweiga nade wszystko interesuje osobowość autora „Komedii ludzkiej". Do robek pisarski zdolny jest ją ukazać jedynie częściowo. Zweig sięga więc po akta, listy, wizerunki, wypowiedzi współczesnych Balzakowi. Zbiera to wszystko, co pozwoli mu po żmudnych studiach nad Balzakiem zrekonstruować krok po kroku jego życie. Pasjonuje go psychika tego człowieka, stara się ją zgłębić, określić, odnaleźć motywy jego postępowania, a więc i wiernie odmalować warunki, które te motywy zrodziły. Zweigowi udało się dać wspaniały, porywający obraz tego fenomenu. Z kart jego książki wyłaniają się różne twarze Balzaka: artysty i człowieka, tego który w życiu wydawał się współczesnym blaznem, a jednocześnie był „uosobieniem najbardziej zdyscyplinowanej inteligencji artystycznej swej epoki; rozrzutnika i zarazem ascety, najwspanialszego pracownika nowoczesnej literatury". Czas, który upłynął od owych lat, pozwolił już na wyrobienie dystansu wobec pisarza i jego dorobku. Ale biografia Zweiga nie jest zimna, wyłącznie intelektualna. Z każdej karty przeziera umiłowanie biografisty dla twórczości Balzaka. To właśnie pasja Zweiga czyni jego dzieło tak porywającym. Poprzez nią i poprzez świetny styl swojej prozy daje tutaj Zweig dużą cząstkę samego siebie. „Balzac" to piękna, wspaniała książka, niosąca czytelnikom bogactwo wrażeń i przeżyć.

Stefan Zweig: „Balzac". Przekład Wandy Kragen. PIW, Warszawa 1965 r., str. 491. Cena zł 25.

„DISNEYLAND" DYGATA

Książka St. Dygata stanowi bestseller ostatnich miesięcy. Pisarz uczyniwszy bohaterem sportowca (najpierw bokser, potem lekkoatleta), wyposaża jego biografię, charakter i postępowanie w wiele cech niemal wiernie przeniesionych z poszczególnych biografii naszych sław sportowych. Czytelnik choćby tylko pobieżnie obznajomiony ze środowiskiem i atmosferą świata sportowego, ma wielką uciechę odcyfrowując znane fakty, wydarzenia czy momenty biograficzne. Rangę bestsellera nadają utworowi jednak przede wszystkim jego walory beletrystyczne. Akcja „Disneylandu" toczy się wartko, trzyma w napięciu, postaci nakreślone są wyraziście, z pewną dozą ironii i humoru. Mamy w nim trafnie podchwycone, typowe dla Dygata obserwacje obyczajowo-współczesne z naszego współczesnego codziennego życia, specyficzny dowcip oraz żywy styl. Mamy problematykę moralną. Bohater, chcąc zerwać ze swym dotychczasowym sposobem postępowania, pragnąc być w zgodzie z samym sobą, podejmuje pewne decyzje, które jednakże przynoszą efekty niezamierzone. Prawość nie popłaca. Świat jest dżunglą, w której każdy oszukuje i jest oszukiwany. Cnoty takie jak szlachetność, lojalność, wierność, szczerość, spotkać można jedynie w świecie bajek Disneya.

Po lekturze powieści rodzą się jednak pewne pytania. Czy przypadkiem za ową prostą fabułą, za tym przecież banalnym morałem nie kryje się jakiś podstęp autora „Jeziora Bodeńskiego?".

Już samo ironiczne użycie tytułu nakazuje pewną ostrożność. Może zaszyfrowane zostały tutaj zamierzone cele parodystyczne czy satyryczne. Może jest to jakaś parodia pewnych konwencji literackich a także filmu oraz ich wpływu na postawy i postępowanie ludzkie. Rozszyfrowanie tych podtekstów, rozstrzygnięcie tych pytań należy już jednak do czytelnika.

Stanisław Dygat: „Disneyland". PIW, Warszawa 1965, str. 247. Cena zł 15.

KSIĄŻKI K. BRANDYSA

Dwa ostatnie utwory Kazimierza Brandysa — „Sposób bycia" i „Bardzo starzy oboje" potwierdzają, że jest on pisarzem konsekwentnym — zarówno w podejmowaniu określonej problematyki filozoficzno-moralnej, jak i w stałym unowocześnianiu swego warsztatu pisarskiego. „Sposób bycia" to monolog wewnętrzny jednego bohatera, który jak w średniowiecznym moralitecie pozbawiony jest imienia i nazwiska i określany po prostu jako Mężczyzna. Jest to człowiek przeciętny, „doświadczony urzędnik", pracujący na dość odpowiedzialnym stanowisku. Bywa zarówno komiczny, jak i tragiczny, żałosny, ale i bohaterski; wzbudza tak współczucie jak i politowanie, sympatię i niechęć. Czytelnik musi odtwarzać koleje jego życia z chaotycznego częstokroć niekontrolowanego „podświadomego" ciągu wspomnień, obserwacji, refleksji, Banalność, przeciętność, powszedniość tego życia jest zamierzona. Mężczyzna mógłby właściwie nosić imię Każdy, a jego losy stanowić jakieś szersze uogólnienie. Mężczyzna ów poszukuje dla siebie, dla swego postępowania, dla swej postawy jakiejś zasady, kieruje swym postępowaniem, dokonuje jakichś wyborów własnego „sposobu bycia".

Utwór „Bardzo starzy oboje" mniej jest chyba pogłębiony problemowo. Stanowi jednak ważne ogniwo w ewolucji prozy Brandysa, zapoczątkowanej utworami z tomu „Romantyczność". W „Bardzo starzy oboje" autor sprowadza swój komentarz i opis do najprostszych elementów, do beznamiętnej rejestracji faktów, czyni z niego układ czysto konwencjonalny — jak konwencjonalny jest zapis tła, scenerii miejsca akcji w utworze teatralnym. Brandys oddaje głos bohaterom, im każe mówić, dokonywać ocen i interpretacji. Momenty te decydują o tym, że utwory Brandysa stoją właśnie na pograniczu epiki i dramatu. One też zapewniły im sukcesy nie tylko czytelnicze (dwa wydania w ciągu roku), ale i teatralne (świetne i odmienne inscenizacje w Krakowie i Warszawie). Można się spodziewać, że i adaptacja filmowa Rybkowskiego nie minie bez rozgłosu.

Kazimierz Brandys: Sposób bycia. Bardzo starzy oboje. Czytelnik, Warszawa 1965, str. 250 Cena zł 20.

JERZEGO PASSENDORFERA OSIEM i PÓŁ

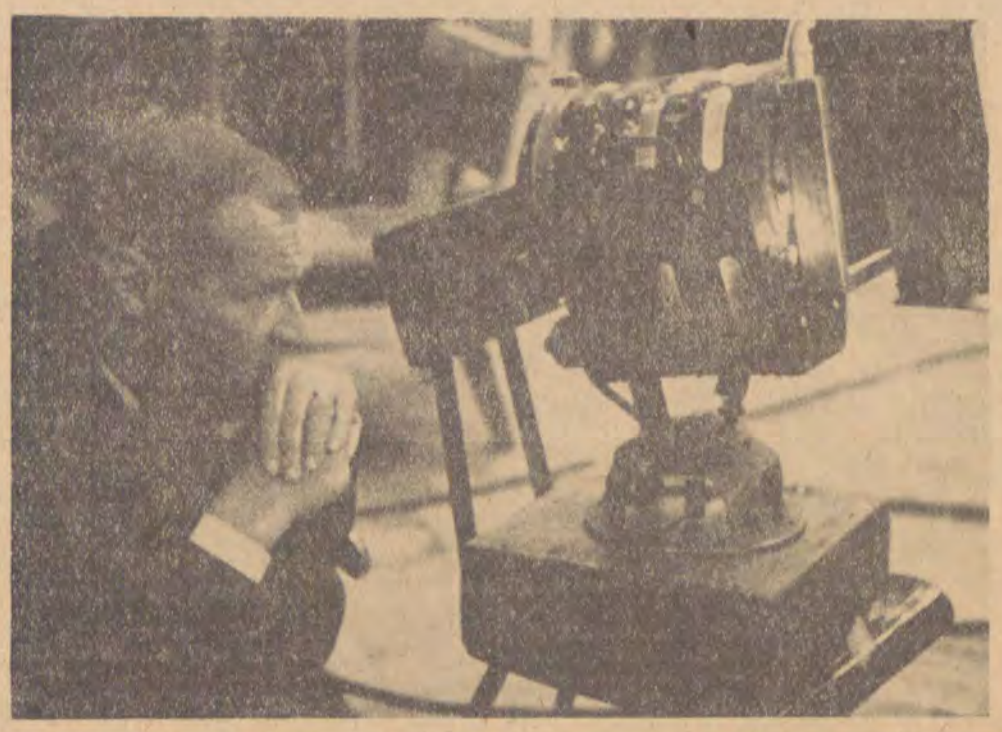

Jerzy Passendorfer w czasie okupacji pracował w wędrownym cyrku jako clown i linoskoczek. Od 1943 roku do wyzwolenia jest aktorem w Teatrze Podziemnym prowadzonym przez Adama Mularczyka. Kolejny etap zainteresowań to studium teatralne przy Starym Teatrze prowadzone przez Juliusza Osterwę. Epizod zagrany w filmie „2×2=4" to pierwsze zetknięcie z filmem, które zadecydowało o dalszej drodze. Kończy Kurs Przeszkolenia Filmowego w Instytucie Krakowskim, po czym... przez dwa lata pracuje jako asystent operatora, a potem jako operator na bazie Kroniki Filmowej w Krakowie. W międzyczasie pracuje w teatrze kukiełkowym, potem współorganizuje Polski Teatr Akademicki, gdzie jest konferansjerem, piosenkarzem i parodystą tanecznym. Wieczorami występuje w nocnych lokalach jako piosenkarz. W 1947 roku skierowany zostaje na studia do Szkoły Filmowej w Łodzi. W 1948 wyjeżdża na stypendium MKS do Pragi Czeskiej na wydział reżyserii filmowej Akademii Sztuk Pięknych. Studia kończy z odznaczeniem w 1951 r. W okresie studiów realizuje na zamówienie czeskiej Oświatówki dwanaście krótkich metraży.

Po powrocie do kraju jest drugim reżyserem przy czterech filmach fabularnych. Debiutuje w 1956 roku filmem „Skarb Kapitana Martensa". Potem przychodzi „Zamach". Wielki sukces i w efekcie sześć nagród międzynarodowych. Kolejne filmy to „Sygnały", „Powrót" (nagroda krytyki w Mar del Plata), „Wyrok", „Zerwany most", „Skąpani w ogniu" (nagroda ministra obrony narodowej I stopnia), „Barwy walki" (nagroda ministra kultury i sztuki II stopnia). Obecnie kończy prace nad współczesnym filmem obyczajowym opartym na scenariuszu Romana Bratnego pt. „Niedziela sprawiedliwości".

Korzystając z pobytu reżysera w Łodzi odwiedzam go w montażowni na Łąkowej, gdzie właśnie kończy prace nad nowym swoim filmem pt. „Niedziela sprawiedliwości".

— Z analizy pańskich filmów wynika, że jest pan zasadniczo wierny dwóm nurtom charakteryzującym pańską twórczość: temat wojenno-okupacyjny i temat dnia dzisiejszego. Do którego zaliczyłby pan obecnie realizowany film? — pytam Jerzego Passendorfera.

— Wydaje mi się, że jakieś zaszufladkowanie uproszczałoby zagadnienie. Tzw. film współczesny może przez marginesowy temat lub nie współczesną formę trącić myszką, natomiast tzw. film historyczny może mieć daleko idące aluzje do współczesności i być dzielem bardziej ingerującym w sprawy dnia dzisiejszego. W wypadku „Niedzieli sprawiedliwości" mam wrażenie, że te oba nurty się przenikają. Historia dzieje się dzisiaj, ale dotyczy przedstawiciela tzw. czterdziestolatków i ma swoje powiązania z przeszłością. Po „Zerwanym moście" i „Powrocie" jest to już trzecia moja współpraca z Romanem Bratnym i, jak się można było spodziewać, konflikty i problemy zawarte w scenariuszu ulokowane zostały w warstwie psychologicznej.

— Czy nie sądzi pan, że nastał zmierzch zainteresowania tematyką wojenną?

— Nie. Istnieje natomiast wciąż rosnący brak zainteresowania filmami nieudanymi, nudnymi i głupimi. Widz rósł razem z nami, zasmakował w nowoczesnych środkach wyrazu i stał się bardziej wybredny. Jeżeli film wojenny czy okupacyjny jest zrobiony z werwą i ma potoczystą narrację, a jednocześnie niesie ze sobą jakieś ogólniejsze problemy, można być spokojnym o wynik. Statystyki zresztą wykazują obecnie nawrót zainteresowania tematyką wojenną. Powtarzam: interesująco zrealizowaną.

— Co pan rozumie przez interesującą realizację? Metodę pracy, styl?

— Głównym zadaniem twórcy filmowego jest przede wszystkim trafić do widza, wciągnąć go w imprezę i starać przekonać lub przynajmniej sprowokować do zamyślenia. Nie ulega wątpliwości, że widz idzie do kina przede wszystkim na rozrywkę. I dlatego nie należy nudzić. Widza trzeba albo rozbawić, albo przestraszyć albo wzruszyć. Jeżeli można mówić o jakimś stylu czy metodzie realizacji, to wydaje mi się, że staram się w moich filmach stworzyć taką potoczystość narracji, żeby w czasie mojego opowiadania widz nie miał okazji się wtrącić, dopóki ja nie wyczerpałem wszystkich swoich argumentów.

— Co pan sądzi o tak zwanym kryzysie, który rzekomo przeżywa nasza kinematografia?

— Sam pan w ten kryzys nie wierzy, bo powiedział pan rzekomo. I słusznie. Każda twórczość ma swoje wzloty i upadki, i jest to zjawisko jak najbardziej naturalne. Na dwadzieścia kilka filmów fabularnych rocznie, co najmniej połowa to filmy bardzo interesujące pod każdym względem i zbliżone swoimi walorami do czołówki światowej.

Połowa, czyli pięćdziesiąt procent! Niech mi pan pokaże tak znakomity stosunek filmów dobrych do nieudanych, w jakiejkolwiek kinematografii świata. Na Zachodzie ilość wartościowych artystycznie filmów nie przekracza 20 proc. całej produkcji. A do nas na ekrany docierają już tylko te najlepsze z tych 20 proc.

— A co pan sądzi o ostatnich sukcesach naszych południowych sąsiadów?

— Już nie pamiętam dokładnie kiedy, ale chyba przed rokiem ukazał się w „Filmie" artykuł pod tytułem „Dlaczego nas Czesi biją?"

„— Bo Polacy nas tego nauczyli" — odpowiedział rektor szkoły filmowej w Pradze, prof. Brousil.

I chyba w tym kurtuazyjnym stwierdzeniu jest dużo prawdy. Czesi przejęli od nas system zespołów twórczych, ale poszli o krok dalej. Uzyskali większą samodzielność dla kierownictwa zespołu i wzięli na barki twórców większą odpowiedzialność. Okazało się, że daje to niezłe rezultaty.

— Czy to oznacza, że istnieje jakaś recepta na zrobienie dobrego filmu?

— Może nawet istnieje, ale ja już nie jestem taki młody, żeby wszystko wiedzieć. A gdybym nawet wiedział, to i tak bym panu nie zdradził. W tych sprawach nie ma litości.

— Sądząc z zapowiedzi prasowych szykuje pan duży cykl dla TV o przygodach Janosika. Czyżby zdrada dotychczasowej linii?

— Gdyby nie było zdrady, nie byłoby pojęcia wierności. Wierny przede wszystkim staram się być sobie, swoim przekonaniom i zamiłowaniom. Janosik będzie dla mnie uroczą przygodą i chociaż częściowo spełni moje marzenie, którego od wielu lat nie udaje mi się zrealizować. Chciałbym kiedyś w życiu zrobić dobrą komedię muzyczną i samemu ze dwa razy pójść na nią do kina.

— Czego i panu i sobie na pewno życzymy.

ROZMAWIAŁ:
KAROL BADZIAK

KRONIKA Antytelewizyjna

TYDZIEŃ, JAKICH WIELE

Tym razem wydarzeniem telewizyjnym była adaptacja „MATKI JOANNY OD ANIOŁÓW", znakomitej opowieści Jarosława Iwaszkiewicza, który słusznie, jeszcze po przyznaniu mu nagrody tygodnika „Odrodzenie" — hej, miała nasza stolica tygodniki literackie! — zżymał się, że niezbyt się dostrzega, iż jego utwory tak bardzo korespondują z istotnymi problemami współczesności. Telewizyjna „Matka Joanna" była inna niż znany film Kawalerowicza, pod porządkowana wymogom innego rodzaju warunków przekazywania. Ograniczenia — choćby by usunięcie wątku: siostra Małgorzata i pan Chrząszczewski — uwypukliły sprawę zasadniczą, słowo było wyrazistsze. Zarówno Matka Joanna w wykonaniu Rysiówny, zyskującej na porównaniu z Winnicką, jak i ks. Suryn Dmochowskiego, to kreacje wrażające się w pamięć: te twarze tak wiele wyrażały, mimika zespalała się ze słowem najściślej, a wszystko było oszczędne, choć czyhało niebezpieczeństwo „przedramatyzowania".

O ile w filmie Ludyń był bardziej jakimś Loudun niż Ludyniem pod Połockiem, o tyle w realizacji telewizyjnej środowisko etniczno-geograficzne przypominało dawną „kresowość". Muszę się przyznać, iż to mi się również podobało, gdyż moje dzieciństwo i młodość przebiegały w odległości jakichś trzydziestu kilometrów od Połocka, aczkolwiek od tego miasta oddzielała nas granica, za to rodzicom było ono doskonale znane... Nie wolno nie podkreślić, że adaptacja i reżyseria należały do Adama Hanuszkiewicza.

A poza tym? Poza tym chyba tydzień, jakich wiele, choć każdy mógł dla siebie coś znaleźć.

„Telewizyjny Klub Trzynastolatków" uprzytomnił naszym pociechom zgubne skutki palenia, kładąc nacisk na to, że kto pali, ten nie osiągnie sukcesów w sporcie. Nie wiem czy dał się przekonać syn pana Maliniaka, który nie ma ambicji sportowych. Myślę, że przemawiając do trzynastolatków trzeba częściej posługiwać się humorem. Chłopięctwo i młodość zawsze świetnie na to reagują!

„Ordery dla cudownych dzieci", film telewizyjny wytwórni bawarskiej, zalecał się doskonałym rzemiosłem i aktorstwem, troską o absolutną czytelność na małym ekranie. Z sytuacji dobrze znanych z rozmaitej literatury humorystycznej stworzono rzecz bogatą w aluzje, dotyczące stosunków w NRF, naprawdę satyryczną. To może tylko u nas, zwłaszcza wśród recenzentów literackich i poetów, pogardza się tradycjami literatury humorystycznej na korzyść wyłącznie groteski, nie mającej styków z konkretami rzeczywistości, wieloznacznej. Jeszcze bardziej pogardza się „satyrą interwencyjną", nawet nie zawsze właściwie rozumiejąc to pojęcie. A właśnie „Wielokropek" reprezentuje tę pożyteczną odmianę satyry, w ub. tygodniu wypadło to wcale dobrze, zwłaszcza dzięki parodii znanych piosenek.

Katowice „proponowały" dokumentację, pozwalającą na uruchomienie produkcji większej ilości środków piorących opowiadając nam jednocześnie o zlekceważeniu tej propozycji.

Nie bardzo tym się przejąłem, tego bowiem dnia przeczytałem w „Życiu Warszawy" zdumiewającą w swej treści notatkę o dwóch pojemnikach z izotopami, zostawionymi na noc byle gdzie. Odnosiło się to do Płocka i do Pątnowa koło Konina. Nieodpowiedzialność moralna i gospodarcza po prostu przerażająca!

Nadal zbyt wielkie nadzieje pokładamy w samej perswazji. Są jednak liczne dziedziny życia, w których perswazja nie może wystarczyć, nie zastąpi działania, staje się czymś beznadziejnie śmiesznym...

I na koniec o niedzieli! Wolno przypuszczać, że zadowoliła liczne rzesze telewidzów. Otrzymaliśmy bigos właśnie hultajski, a i pogoda sprzyjała raczej domatorom. Z dużą sympatią powitałem „szklaną niedzielną rodzinkę". Trudno przewidzieć, jaki kierunek tym spotkaniom nada doświadczona autorka, Stefania Grodzieńska, ale gotów jestem sądzić, iż nie obejdzie się w końcu bez jakichś wątków. Podzielam opinię tych, którzy mówią o inteligenckiej, dla odmiany, rodzinie Matysiaków.

Mistrzostwa lekkoatletyczne znowu oglądało się z zainteresowaniem. Lekkoatletyka to jednak królowa sportu, podobnie jak o piechocie mówiło

się, że jest królową broni. Bliżej jej do nieskażonej idei sportu niż boksowi, niż nawet piłce nożnej, która stwarza okazję do brutalnych incydentów, bliżej też do poezji, o czym świadczy chociażby „Laur olimpijski" Kazimierza Wierzyńskiego. Na potwierdzenie można także wspomnieć o różnicach w zachowaniu kibiców. Szkoda, że komentator nie chciał wychodzić poza obliczanie wyników.

Wyjątkowo udanym nazwałbym program rozrywkowy (czy tak bardzo rozrywkowy, to pytanie) Agnieszki Osieckiej. To po prostu dobrze pomyślana i przeprowadzona nowela telewizyjna. Że dość sentymentalna, czy to zarzut?

A jeszcze Wiechczysław Gliński i inne pozycje. Więc bigos hultajski we właściwym znaczeniu — czyli mieliśmy pozostający w pamięci pierwszy dzień tygodnia i urozmaicony, miły ostatni dzień tygodnia, no nie?

Jan Huszczy

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Dzieci, dzieciństwo, są dla sztuki szalenie wdzięcznym tematem. Dając artyście wielkie możliwości w obieraniu sposobu podejścia do problematyki temat ów stwarza jednak równocześnie rozliczne niebezpieczeństwa. Na swój warsztat twórczy biorą go często ci, którzy tanim kosztem chcą wyciskać łzy rozczulenia u widza lub słuchacza. Wykorzystują w ten sposób skłonność natury ludzkiej do wzruszania się dzieckiem jako istotą słabą, bezbronną, niewinną. Ów tani sentymentalizm łatwy jest do rozpoznania. Autentyczny świat doznań przeżyć dziecięcych wcale nie interesuje takiego wyrobnika (nazwa twórca — byłaby tu świętokradztwem), prezentuje on tylko dziecko — rozkoszniaczka, lub dziecko — wyciskaczą łez.

Artysta z prawdziwego zdarzenia podejmując tematykę dziecięcą decyduje się albo na wnikliwe ukazanie psychiki dziecka i jego zachowania, widzianych oczami człowieka dorosłego, albo wprowadza nas w świat dziecięcy, każąc patrzeć na wszystko tak jak to czynią nasi najmłodsi. Czasem oba te sposoby przedstawienia realizują się w jednym dziele sztuki. Tak właśnie dzieje się w filmie Roberta Mulligana **ZABIĆ DROZDA.** Autorka powieści, która była pierwowzorem tego ekranowego dzieła, powiedziała: Po obejrzeniu filmu mogę tylko powiedzieć, że jestem szczęśliwą autorką... „Według mojej powieści zrobiono piękny i wzruszający film. Jestem bardzo dumna i wdzięczna". I nie był to wyraz czczej afektacji czy zdawkowego podziękowania. Bo film Mulligana jest naprawdę bardzo piękny i wzruszający. Reżyser dowiódł nim, że jest człowiekiem wielkiej wyobraźni. Tylko to bowiem pozwala dorosłemu tak dobrze, tak dokładnie cofnąć się wspomnieniami do okresu dzieciństwa i wyczarować na ekranie cudowny świat tych lat.

Marzenie ma w nim prawo bytu na równi z rzeczywistością, zaciera się granica między tym, co realne, a co wymyślone. Każdy drobiazg urasta czasem do miary wielkiego przeżycia. Dlatego zresztą w świecie dziecka tak wielką rolę odgrywają drobiazgi, wszystko, co otacza dziecko jest ciągłym źródłem emocji. Mały człowieczek dostrzega więc i ocenia świat w sposób emocjonalny, impulsywny. Dlatego w jego oczach jest on tak zmienny i trzeba go ciągle odkrywać na nowo. Tę atmosferę dziecięcego świata oddał Mulligan z urzekającą prawdziwością. Nie tylko doskonale poznał psychikę dziecka, ale genialnie także pokierował swymi małymi aktorami, którzy zagrali tak dobrze, iż z powodzeniem mogliby być uznani za „cudowne dzieci". Na szczęście tak się nie stało — dzieci po prostu są w filmie sobą, są naturalne w swych psotach i powadze, strachu i zuchowatości, w swej naiwności i zarazem wielkiej spostrzegawczości i wnikliwości, w swej dziecięcej dobroci, prostolinijności i irracjonalizmie. Dzieci te rosną w kraju, gdzie pośród swych małych a wyolbrzymionych spraw muszą stanąć wobec doniosłego problemu dyskryminacji rasowej. Ich poczucie sprawiedliwości, spojrzenie na ludzi pozbawione uprzedzeń społecznych, rasowych ukazuje na zasadzie kontrastu, jak straszliwie nieludzki jest świat dorosłych, w którym prawo i sprawiedliwość różne są dla ludzi w zależności od koloru skóry, w którym sama cera potrafi wybielić uprzywilejowanego przestępcę, a zgnębić, zgubić, zamknąć w więzieniu niewinnego „czarnucha".

Film „Zabić drozda" jest nie tylko bardzo piękny i wzruszający. Jest także cudownie subtelny i urzekająco szlachetny.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film **„GORĄCA LINIA"** należy mniej więcej do tego samego kręgu tematyki, co „Ktoś nowy" Domańskiego — dramat, który z takim powodzeniem grany był w naszych teatrach. Nowy dyrektor — dawni pracownicy. Innowacje i stare problemy. Konieczność przeobrażenia nie tylko zakładu pracy (w filmie jest to kopalnia), ale i psychiki ludzkiej. To drugie jest znacznie trudniejsze od pierwszego. Trudne jako faktyczne zjawisko ludzkiej rzeczywistości, w której pokonanie zakorzenionej w człowieku nieufności, zmiana jego odruchów, przyzwyczajeń, sposobu myślenia, do którego przyzwyczajono go i przyuczono — wszystko to jest iście syzyfową pracą. Ale nie mniej trudne jest ukazanie tego procesu w dziele sztuki. Wyraźnie dowiódł tego film Wandy Jakubowskiej. „Gorąca linia" mimo szlachetnych intencji twórców jest zakalcem ciężkim do przełknięcia. Niektóre warstwy tego kinematograficznego dania są co prawda całkiem niezłe całość jest jednak zdecydowanie nieudana. Reżyser przedobrzyła swe dzieło. Zbyt dużo chciała w nim powiedzieć. A mądre przysłowie napomina, że lepiej jeden tylko grzybek kłaść w barszcz. Angażowanie się we współczesność nie polega na mówieniu jednym tchem wszystkiego o gospodarce, polityce i sprawach osobistych bohaterów. Stanowczo za wiele jest w „Gorącej linii" wątków drugoplanowych. Powstała w ten sposób straszna siekanina, na której najbardziej ucierpiała ogólna dramaturgia filmu. Ma on straszliwe dłużyzny. Sekwencja przeprowadzania rurociągu jest nie do zniesienia. Dlaczego? Bo film Jakubowskiej jest przegadany. Obraz pełni w nim bardzo podrzędną rolę, jest nieatrakcyjny, dołączony często na zasadzie niecieka wej ilustracji. W dodatku niezbyt dobrze spisali się aktorzy — Joanna Szczerbic i Marta Lipińska razą swą sztucznością. To, co dobrego w tym filmie, leży w warstwie słownej. Szereg dialogów skonstruowanych jest żywo, barwnie, z domieszką humoru od czasu do czasu. Mówi się w nich o sprawach trudnych językiem codziennym, znanym z rzeczywistości; podejmuje się w nich dyskusję o naszych czasach, ludziach, o społeczeństwie, o gospodarce, o polityce. Mówi się wprost, bez ogródek. Niestety — te niewątpliwie dobre momenty nie zdołały uratować filmu.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WIERSZ BORYSA PASTERNAKA

Agencja Reutera donosi z Moskwy, że po raz pierwszy opublikowano tam wiersz Borysa Pasternaka, który poeta napisał w 1958 roku w czasie najgorętszej kampanii prasowej, jaką wytoczono wówczas przeciwko niemu. Wiersz zatytułowany „Sierpień", ukazał się w miesięczniku literackim „Junost" („Młodość") z dwoma innymi, publikowanymi już wcześniej wierszami i był poprzedzony wstępem K. Czukowskiego. Wiersz zawiera zawoalowane aluzje w związku z atakami prasowymi na wydrukowanie za granicą powieści Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago" oraz podziekowania dla tych wszystkich, którzy stawali w obronie poety. Znajduje się w tym utworze również opis snu, w czasie którego przyjaciele przychodzą na pogrzeb Pasternaka, a Śmierć czeka, aby zmierzyć długość jego grobu jak „oficjalny grabarz". Jak wiadomo, Borys Pasternak zmarł w maju 1960 roku w wieku lat siedemdziesięciu.

REFLEKSJE O KULTURZE

„Kultura jest nie tylko zwycięstwem, lecz także — orężem — pisał Maurice Thorez. — Bowiem jeśli emancypacja człowieka pociąga za sobą w następstwie rozwój kultury, to rozwój kultury przybliża godzinę emancypacji". Pisząc te słowa we wstępie do dzieł wybranych Marksa i Engelsa o literaturze i sztuce Thorez ujmował problem kultury we właściwy sposób, podkreślając jej znaczenie i jako celu i jako środka w naszej walce o demokrację i socjalizm. W 1753 roku Diderot pisał: „Starajmy się popularyzować filozofię. I jeżeli chcemy, aby filozofowie rozwijali tę gałąź nauki, przybliżajmy lud do punktu wyjścia filozofów". Diderot rozumiał przez to — jak pisze Hubert Lesigne w „Cahiers du communisme" — konieczność upowszechnienia cywilizacji, jak byśmy dziś powiedzieli: demokratyzacji kultury. Najwięksi z filozofów XVIII wieku nie kontentowali się jednak stwierdzeniem zasad; oni chcieli realizować je w praktycznej działalności. Dowodem tego jest walka o Encyklopedię. Szczególnie Diderot, który był jednym z głównych inicjatorów i realizatorów tego wielkiego dzieła, podkreślał stale, że praca i zdobycze nauk i sztuk są nierozłączne, że kultura obejmuje zarówno postępy w metalurgii, jak w naukach politycznych, w muzyce jak w malarstwie, jednym słowem, że kultura jest jedna i niepodzielna, i że nie jest owocem pracy fizycznej i umysłowej. Ta owocna w skutkach idea kultury pogodzonej z pracą i oddanej do dyspozycji szerokich mas była kwestionowana przez burżuazję, ponieważ stała w sprzeczności z jej interesem klasowym i podważała władzę i przywileje klas posiadających. Burżuazja trzymała się kurczowo starej koncepcji kultury jak form dziedziczonych, które ograniczały kasę ludzi pracujących i wyzyskiwanych do czynności fizycznych, będących w pogardzie. Miało to na celu utrwalenie koncepcji pracy intelektualnej jako przywileju klasy rządzącej. Znakomity pisarz Aragon wypowiedział się w tej kwestii w następujący sposób: „Chciałbym przede wszystkim, aby uznać za zasadę, że kultura jest jedna i niepodzielna, i że nie jest ona przywilejem ludzi, którzy „tworzą ją" z mgławicy, lecz jest wspólnym dobrem wszystkich ludzi i że masy, ludzie czy narody są jej twórcami, że z nich bierze ona (kultura) początek, z nich czerpie moc wzrostu i siłę odnowy".

LATAJĄCE TALERZE

Okres wakacji czyli tzw. „ogórki" — obfituje zawsze w większą ilość „cudów" i zjawisk nadprzyrodzonych (w prasie), których prototypem jest przysłowiowy już wąż — potwór z jeziora Loch Ness. W tym roku na niebie nad Europą zwiększyła się latem ilość latających talerzy. Zdaniem astrofizyków publikacje prasowe na temat fenomenów nadprzyrodzonych prowokują powódź podobnych uwag i obserwacji. Nie należy więc ze zwiększonej ilości komunikatów prasowych wyciągać wniosków co do nagłego zwiększenia się ilości latających talerzy. Nie powiększyła się ilość gości z kosmosu, tylko zwiększyła się liczba fenomenów psychologicznych.

Czym tłumaczą się takie tajemnicze zjawiska, jak latające talerze itp. Otóż, w atmosferze można obserwować znaczną liczbę fenomenów optycznych: balony, meteoryty, wschód i zachód planet; iskrzenie się, migotanie, miraże i inne, powodujących złudzenia wzrokowe. Wykrycie na pierwszy rzut oka natury tych fenomenów optycznych wymaga znajomości z zakresu różnorodnych dziedzin fizyki. Zrozumiałe więc jest, że analiza i sprawdzenie informacji zawartych w amerykańskim dossier „latających przedmiotów niezidentyfikowanych" wymaga ogromnego nakładu pracy, przy czym rezultat jej będzie zależny od ścisłości obserwacji, które są zawarte w dossier. Czy znaczy to, że specjaliści zaprzeczają możliwości wizyt kosmonautów z innych planet na Ziemi? Bynajmniej! Ale trzeba podkreślić z naciskiem, że — jak dotąd — żadna z posiadanych przez amerykańskie Air Force obserwacji nie daje podstaw do uwierzenia w fakt przelotu kosmonautów pozaziemskich nad naszym globem. Dowodzi tego niezbicie jedna z ostatnich książek dyrektora Obserwatorium w Harvard. („The World of Flying Saucers" Menzel and Boyd). Jednym z wielu argumentów przemawiających przeciwko dotychczasowym „latającym talerzom" jest ten, że talerze takie musiałyby wywoływać przy przelocie huk podobny co najmniej takiemu, jaki wywołuje samolot lecący z szybkością przekraczającą granice szybkości dźwięku: Tymczasem informacje od „naocznych świadków" stwierdzają, że tajemnicze talerze przelatują w absolutnej ciszy. (Nouv. Litteraires nr 1961, 19. VIII. 65).

CO KRAJ, TO OBYCZAJ

W ostatni wtorek firma „Treo i S-ka, wytwórnia garderoby damskiej" w Nowym Yorku zwołała pośpiesznie zebranie Rady Nadzorczej. Okazało się, że do biura firmy wpłynął list od Mrs. Carl Crittenden, przewodniczącej Komitetu Cór Rewolucji Amerykańskiej. Pani Crittenden wyrażała oburzenie, że firma użyła godła USA, które wydrukowano na pewnej części damskiej garderoby, a mianowicie na damskim pasie obejmującym najbardziej intymne okolice ciała kobiecego. Pas był wymalowany w białe i czerwone pionowe smugi, nad którymi figurowało osiem gwiazd z amerykańskiego sztandaru na białym tle. Pani Crittenden domagała się kategorycznie usunięcia tej „gorszącej karykatury" zamieszczonej na tak nieodpowiednim miejscu. Rada Nadzorcza firmy „Treo i S-ka" — jakkolwiek nie zgadzała się z wywodami pani Crittenden, jednak uwzględniła jej żądanie i pas został wycofany ze sprzedaży. A swoją drogą chyba tylko Amerykanie mogą wpaść na równie ekscentryczny, co idiotyczny, pomysł, drukowania barw i godeł narodowych na damskich pasach.

W PRACOWNI NIEIZWIESTNEGO

„Daily Telegraph and Morning Post" nazwał znakomitego rzeźbiarza radzieckiego, Ernesta Nieizwiestnego, jednym z najbardziej utalentowanych spośród rzeźbiarzy, którzy w ostatnich latach wystawiali swe prace w Londynie. Krytyczne uwagi, jakie przed trzema laty wypowiedział pod adresem rzeźbiarza Chruszczow, mogły się dla artysty okazać fatalne w skutkach, gdyż z racji monumentalnej sztuki, jakiej hołduje Nieizwiestny, jest on nastawiony i uzależniony od zamówień oficjalnych. Jednak po upływie roku otrzymał on od CK Komsomołu zamówienie dla obozu pionierów w Arteku na relief z piaskowca wielkości osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych, przedstawiający Prometeusza przynoszącego ludziom ogień. Jakie jest credo artystyczne Ernesta Nieizwiestnego: „Każdy kierunek artystyczny i każdy prawdziwy artysta odzwierciedla niezależnie od jego temperamentu artystycznego i sposobu, czy rodzaju jego sztuki, pewną stronę ogólnego procesu rozwojowego. Dlatego spory na temat różnego rodzaju „izmów" uważam za bezprzedmiotowe. Sposób wypowiedzi jest mową sztuki. Przekonania artystyczne określają treść jego dzieła. Ja, osobiście, korzystam często, względnie — stosuję przeciwstawne sobie elementy formalne i zdaje mi się, że z tych kontrastów powstaje moja jedność treści i formy".

Ernest Nieizwiestny urodził się w 1925 roku. Ojciec jego jest doktorem, matka — chemikiem. W 1942 roku Nieizwiestny ukończył szkołę wojskową i walczył w oddziałach spadochroniarzy.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK — Ciągle piszę dużo pochlebnych rzeczy o pracy ośrodków kulturalnych w nowym sezonie. Po wakacjach nagle otwarto ogromne i pełne pudło z atrakcjami. Pierwsze z nich już dostały się w nasze ręce a nadal jest ich ilość niewyczerpana.

Międzyzakładowy Dom Kultury im. L. Waryńskiego rozpoczął już działalność. Nastawiony jest głównie na pracę z młodzieżą. Pracować ona będzie w zespołach wokalnych i artystycznych. Najciekawsze z nich, to zespół recytatorski, wokalny i zespół tańców estradowych. Pomyślano również o dzieciach. Specjalnie dla nich organizuje się taneczny zespół dziecięcy.

Cóż! Życzymy powodzenia i czekamy na pierwsze rezultaty. Przyjdziemy obejrzeć.

WTOREK. Biuro Wystaw Artystycznych i Łódzkie Towarzystwo Fotograficzne rozpoczęło w tym tygodniu ofensywę. Otwarto aż trzy wystawy. Od której zacząć! W salonie fotografiki ŁTF pokazano cyki fotografii, nagrodzonych w Muzeum Narodowym w Warszawie, pod ogólnym tytułem „Bramy tragedii". Autorem cyklu jest Adam Kaczkowski. Tematem prac są obozy śmierci: Majdanek, Brzezinka i Oświęcim. Autor nie stylizował oglądanych krajobrazów, miejsc. Starał się oddać jak najwierniej atmosferę tragedii człowieka. Co ciekawsze, na żadnej fotografii nie znajdziecie sylwetki ludzkiej. Krajobraz wystarczał zupełnie.

SRODA. — Dużym rozczarowaniem dla mnie była wystawa zespołowa malarstwa w Salonie Wystawowym BWA przy ul. Piotrkowskiej 102. Jedynie kilka nazwisk można wymienić, jako godne uwagi: Wiesław Garboliński, Józef Skrobiński, Halina Korbik, Kazimierz Kędzia. Ich prace — pejzaże, portrety — są ciekawe, godne uwagi. Inni, wydaje mi się, malują myśląc o tym, czy ktoś ich obraz powiesiłby na ścianie. Wszystko to ładne, miłe obrazki, które rzeczywiście mogą służyć jako element dekoracyjny mieszkania, ale są równie ładne, co bez wyrazu.

Miłośników plastyki jednak zachęcam do obejrzenia wystawy. Warto tam pójść choćby po to, by obejrzeć tych pięć interesujących płócien.

CZWARTEK — Dość na razie o sztukach plastycznych. Sięgnijmy do spraw muzyki. Niedługo, w dniach 3—10 października odbędzie się doroczny „Przegląd Piosenki" dla amatorów. Impreza zorganizowana przez redakcję Polskiego Radia i Telewizji oraz Międzyzakładowy i Spółdzielczy Klub „Kwadrat" w Jeleniej Górze, odbędzie się w bieżącym roku po raz drugi. Istnieje już mała tradycja, istnieje już mały dorobek. Główny cel imprezy, to dalsze podnoszenie poziomu artystycznego zespołów amatorskich wokalnych i muzycznych. Trzeba przyznać, że ubiegłoroczny Przegląd Piosenki był imprezą udaną. Nie myślę tylko o poziomie występujących solistów i zespołów. Różnie z tym bywało, ale można się było pochwalić kilkoma „odkryciami". Najcenniejsza w tej imprezie jest konfrontacja zespołów i piosenkarzy, którzy dotychczas nie mieli możności obejrzeć siebie oczyma wymagających jurorów, którzy nie mieli okazji zobaczyć jak i nad czym pracują ich koledzy. Dla nich to bardzo duża szansa. Mamy nadzieję, że łodzianie nie zapomnieli o „Przeglądzie Piosenki" i zjawią się tam, co prawda nie tłumnie, ale w wyborowym składzie.

PIĄTEK — Wieczór w Filharmonii. Solistą był Bogdan Pietrzak — młody łódzki skrzypek, dyrygował Arkadiusz Basztoń. W programie Uwertura do opery „Cosi fan tutte" W. A. Mozarta, Koncert skrzypcowy Tadeusza Paciorkiewicza i „Eroica" (III Symfonia) L. van Beethovena. Tym razem niewiele uwag. Cały program był przygotowany starannie. Nie było żadnych poważniejszych niedociągnięć. Trochę mało przejrzysta była Uwertura Mozarta. Jest to kompozytor, który wymaga wykonania bardzo dobrego, nie tylko poprawnego. Dopiero wtedy jego muzyka lśni pełnym blaskiem. Solista nie zawiódł. Grał dobrze. Koncert Paciorkiewicza jest utworem wdzięcznym, melodyjnym i te wszystkie jego walory B. Pietrzak potrafił wydobyć. Może trochę zbyt duże tempo narzucił sobie w trzeciej części, co odbiło się na wykonaniu. Nie narzekajmy jednak zbyt wiele. Cieszy jedna rzecz. Trochę muzyki współczesnej w programie. Tyle się o niej mówi, ale praktycznie łodzianin nie ma możliwości przekonać się, co to właściwie jest. Oby nie zapomniano o niej później.

SOBOTA — Po długim, długim remoncie otwarto wreszcie kino „Świt". Przyznam się, że nie obejrzałem go dokładnie. To, co widziałem, cieszy. Nareszcie z tego budynku zrobiono ładne kino. Będzie ono zresztą jednym z jedenastu, które będą miały specjalny program filmów krótkometrażowych. Na razie jednak rozpoczęto filmem który w tej chwili może liczyć właściwie tylko na dzieci i młodzież szkolną (wycieczki) — tak bardzo jest już znany. Szerokoekranowy, kolorowy — „Krzyżacy".

Dlatego nie wybrałem się jeszcze na film do kina „Świt".

NIEDZIELA — Polecam wszystkim gorąco wystawę grafiki Mieczysława Wejmana, (Ośrodek Sztuki w parku Sienkiewicza). Autor dzieł, profesor Akademii Krakowskiej, jest znanym naszej publiczności i powszechnie, nie tylko w Polsce, cenionym grafikiem. Wystawa jest przeglądem jego twórczości z lat 1945—1964. Znajdziemy na niej całe cykle: „Rowerzysta" „Spiące", „Tancerze" doskonałą grafikę, „Oczekiwanie" i wiele innych. Wejman w swojej twórczości jest drapieżny, czasem okrutny. Ale zawsze głęboko wciągnięty w sprawy człowieka. Obejrzyjcie zresztą sami.

AMMIANUS

POLONICA

„IZWIESTIA" O POLSKIM FILMIE

Dziennik „Izwiestia" z dnia 2 września br. przynosi omówienie polskiego filmu pt.: „Koniec naszego świata", który we wrześniu wejdzie na ekrany kin ZSRR.

A oto wypowiedź recenzenta: „We wrześniu na ekrany wejdzie wiele filmów zagranicznych. Spośród nich najciekawszy jest polski film „Koniec naszego świata". Jest to przedstawienie strasznej i ponurej przeszłości więźniów Oświęcimia. Jest to opowieść surowa i prawdziwa. Przecież Wanda Jakubowska — reżyser filmu, na sobie doświadczyła okropności obozu śmierci".

Należy zaznaczyć że „Izwiestia" zajmują się jedynie filmami najwyższej klasy.

(ei.)

WYSTAWA KOBZDEJA WE FRYBURGU

Jak donosi dziennik „Die Welt" (20. VIII. 65) we Fryburgu odbywa się wystawa obrazów, rysunków i grafiki Aleksandra Kobzdeja. Recenzent Jürgen Busohkiehl po opowiedzeniu krótkiej biografii artysty, dokonuje analizy jego obrazów, które ocenia wysoko. Wystawa obejmuje prace Kobzdeja z ostatnich dwu lat jego twórczości. W związku z tym recenzent dodaje, że uniemożliwia to ocenę całości dorobku, który bez wątpienia jest imponujący, albowiem „płótna" na obecnej wystawie dowodzą, że Kobzdej to artysta niewątpliwy".

ROMAN GORZELSKI W LEEDS

Wiersze naszego łódzkiego poety Romana Gorzelskiego czytają nie tylko miłośnicy jego talentu w Polsce. Oto wychodzący w Leeds almanach „Stand Literary Magazine", zamieścił dwa wiersze Gorzelskiego z jego tomiku „Trzy bluesy". Są to „The Royal Castle" i „Occupied Town". Przekładu dokonał popularny tłumacz autorów słowiańskich (tłumaczył m. in. Puszkina, Babla i in.) Antony Wood. Jest to zaszczytne wyróżnienie naszego poety, zważywszy, że chłodni Anglicy odnoszą się z wielką rezerwą do wszystkiego, co nie jest angielskie.

(ei)

POLONICA

WYWIAD ST. R. DOBROWOLSKIEGO DLA „LITIERATURNOJ GAZIETY"

Organ Związku Pisarzy ZSRR — „Litieraturnaja Gazieta" od dawna prowadzi bardzo ciekawą rubrykę pt. „Nad czym pracują...". Tu można znaleźć informacje o wszystkich największych, żyjących obecnie pisarzach, aktorach, muzykach itd. Ostatnio w numerze z 26 sierpnia br. na łamach tego pisma znalazł się wywiad J. Niemczynskoj ze St. R. Dobrowolskim.

Dobrowolski nie jest pisarzem obcym dla radzieckich czytelników — jego wiersze były drukowane niemal we wszystkich pismach tego kraju. Wywiad J. Niemczynskoj jest uzupełniony zdjęciem naszego poety. (ei)

W. ZECHENTER W „LITIERATURNOJ GAZIECIE"

„Litieraturnaja Gazieta" z dnia 24 sierpnia br. opublikowała opowiadanie-parodię Witolda Zechentera pt. „Siódmy wymiar". Jest to relacja z lotu na planetę o nazwie „Pizistrata 13", napisane ze wszystkimi akcesoriami warsztatu pisarskiego, jakim posługują się autorzy powieści fantastycznych. We wstępie czytamy: „Niekiedy pojawiają się powieści i opowiadania, w których autorzy zbyt pochopnie wywodzą bieg wymyślonych przez siebie zdarzeń i przygód. Do tego wprowadzają dziesiątki, niekiedy i setki osób-bohaterów, odznaczających się między sobą jedynie imionami lub nazwiskami. Oto dlaczego nasza rubryka parodii nosi nazwę „Równania z nie kończącymi się niewiadomymi". W tej to rubryce ukazało się opowiadanie Zechentera w przekładzie R. Trofimowa.

(ei)

POLSKIE SPRAWY W „INNOSTRANNOJ LITIERATURIE"

„Innostrannaja Litieratura" (nr 7, lipiec 1963), zamieszcza przedruk części rozmowy z Tadeuszem Różewiczem, jaką zamieściła warszawska „Polityka". W tym samym numerze znajdują się artykulik pt. „Polskie filmy i amerykańska cenzura" oraz informacja o nowej sztuce Jerzego Lutowskiego „Szkoła dobroczyńców". Jest to sztuka trzyaktowa, której poszczególne akty dzieją się w różnych, choć nie odległych od siebie epokach historycznych. Bohaterem utworu jest Feliks Dzierżyński.

HORACE LEONARD GOLD

BOHATER

Minął Kalifornię, Góry Skaliste, Środkowy Zachód i w oddali zobaczył brzeg Oceanu Atlantyckiego. Dopiero teraz włączył radio, by otrzymać instrukcje dotyczące lądowania.

— Hallo, Lions! — krzyczał głośnik. — Jeżeli słyszysz mnie, odpowiadaj...

Usłyszawszy te słowa — zadrżał. Już trzy lata nie słyszał głosu z Ziemi.

— Wszystko w porządku — powiedział.

— Lions, masz za dużą szybkość. Hamuj. Czekamy w porcie.

— Dobrze.

Myśląc jedynie o wykonaniu swojego zadania, Lions zahamował. Rakieta stoczyła się nad hangarami i wpadła do wody. Osiadła na dnie. Coś pochwyciło ją i ciągnąc wyrzuciło na brzeg.

— O'kay, Lions! — usłyszał przez głośnik. — Możesz wysiadać!

Na platformach, po obu stronach rakiety stał tłum. Lions nie słyszał szumu, ale widział jak ludzie machają rękoma i otwierają usta.

— Nie... nie chce — wyszeptał.

— Nie wygłupiaj się, ludzie czekają na ciebie. Jeżeli się zniecierpliwią, sami wyciągną ciebie z rakiety.

Lions wstał i ruszył przez korytarz w stronę drzwi. Nie chciało mu się wychodzić ze statku, który zastępował mu dom i przyjaciół w ciągu trzech lat. Otworzył drzwi. Ludzie otoczyli go. Dotykali rękami, krzyczeli. Mężczyźni i kobiety w uroczystych obcisłych strojach z czerwonej szklistej tkaniny.

— Majorze Lions! — powiedział głośno jeden z mężczyzn. — Jestem prezydentem Stanów. Zostałem wybrany w czasie pańskiej nieobecności na Ziemi. Witam pana!

— Majorze Lions? — zdziwił się astronauta. — Przecież jestem tylko zwykłym lotnikiem...

Zaczerwienił się, bo ludzie, którzy byli najprawdopodobniej politykami i urzędnikami, zaczęli się głośno śmiać, a potem wyprowadzili go na platformę. Ustawiono go przed całą baterią mikrofonów i kamer telewizyjnych. Po drugiej stronie huczał tłum, wrzeszcząc i machając rękami. Prezydent mówił coś, a Lions stał i nie wiedział co robić. Odwrócił się nerwowo. Z gromady urzędników patrzyły na niego dwie twarze.

— Mamo! — krzyknął. — Tom!

Obie twarze pobladły naraz i uniosły palce do ust nakazując milczenie.

— A teraz, majorze, proszę opowiedzieć nam co znaleźliście na Marsie. Słucha was cały świat! — mówił prezydent.

— Nie... nie mogę — powiedział i powlókł się w stronę matki.

— Joseph, proszę cię, zrób to dla mnie... — szepnęła.

Brat wziął go za rękę i podprowadził do mikrofonu.

— Wiem, że czujesz się nieszczególnie — mówił cicho — dlatego przygotowałem tę kartkę. Przeczytaj ją.

Zrozumiał, że doczytał już do końca, bo prezydent klepnął go po ramieniu.

— Dziękuję, majorze! To było wspaniałe!

* * *

Gdy znalazł się w sypialni, zaczął się rozbierać. Nagle jego ręka zatrzymała się na wypukłości kieszeni na piersi. Był tak oszołomiony tym dniem, że zupełnie o niej zapomniał, chociaż nigdy nie myślał, że to może mu się przydarzyć. Ostrożnie wyjął ją z kieszeni. Była to kolorowa figurka zrobiona ze specjalnej masy plastycznej. Można było poznać, że została wykonana przez rzeźbokamerę. Ale sama figurka zadziwiłaby każdego.

Laely — wyszeptał Lions.

— Wróć, szyyybcieeej, Jo! — usłyszał daleki jak echo, czuły szept.

— Och, jak bardzo chciałbym wrócić Laely — powiedział Lions. — Niestety, na razie nie mogę. Wrócę do ciebie, najdroższa, wrócę!

To dziwne, — myślał leżąc w łóżku. — Dziwne, jak bardzo zmienili się matka i Tom. Nie ma już w nich tego ciepła. A Laely zawsze jest taka miła i taka szczera.

* * *

Ktoś potrząsał go za ramię. Otworzył oczy i zobaczył pochylonego nad sobą Toma. Matka stała przy łóżku i uśmiechała się do niego.

— Przepraszam, Jo — powiedział Tom. — Musisz już wstać, bo spóźnimy się na bankiet. Zostałeś wybrany przewodniczącym nowej kompanii kosmicznej. Jesteś teraz zupełnie innym człowiekiem. Cały świat patrzy na ciebie. Jesteś bohaterem, a znaczy to, że niebawem będziesz jednym z najbogatszych ludzi. Rozumiesz, Jo? Jutro dokonasz otwarcia nowej regularnej linii międzyplanetarnej i wtedy ludzie zaczną kupować nasze akcje.

— Czy statek poleci na Marsa? — spytał Lions.

— Tak, pierwszy statek kosmiczny linii Lionsa.

— Jak bardzo chciałbym polecieć — westchnął Lions.

— Teraz już nie potrzebujesz — uśmiechnął się Tom.

— Co to jest, Joseph — spytała matka. Trzymała w rękach fotofigurkę. — Kto to jest?

— Laely, dziewczyna z Marsa. Ja... chcę się z nią ożenić.

— Ożenić się z nią? Z tym miedzianoskórym straszydłem? Och, Joseph, przecież nasze dziewczęta są dużo ładniejsze! A ona... może ona nie jest człowiekiem.

— Jej przodkowie wyemigrowali z Ziemi w okresie lodowcowym.

— Ożenisz się z Moną Trent, gwiazdą naszej telewizji, piękną kobietą...

* * *

Następnego dnia przed otwarciem nowej linii kosmicznej, oglądając nowoczesny międzyplanetarny statek Lions czuł się jak błazen ubrany w królewskie szaty. Po prostu miał szczęście, bo jego statek nie rozbił się przy spotkaniu z meteorytem i lądowanie również mu się udało.

Mona Trent szła obok trzymając go pod rękę, a matka i Tom stali na zewnątrz na platformie.

— Dzikuska, Jo, prawda? — zaśmiał się Tom.

— Dzikuska? Laely jest potomkiem jednego z najlepszych rodów marsjańskich, rozumiesz? — Lions spojrzał na niego groźnie i zacisnął pięści.

— Porzucisz ją, zrobisz to dla mnie, dobrze Jo? — prosiła matka.

— Ależ mamo...

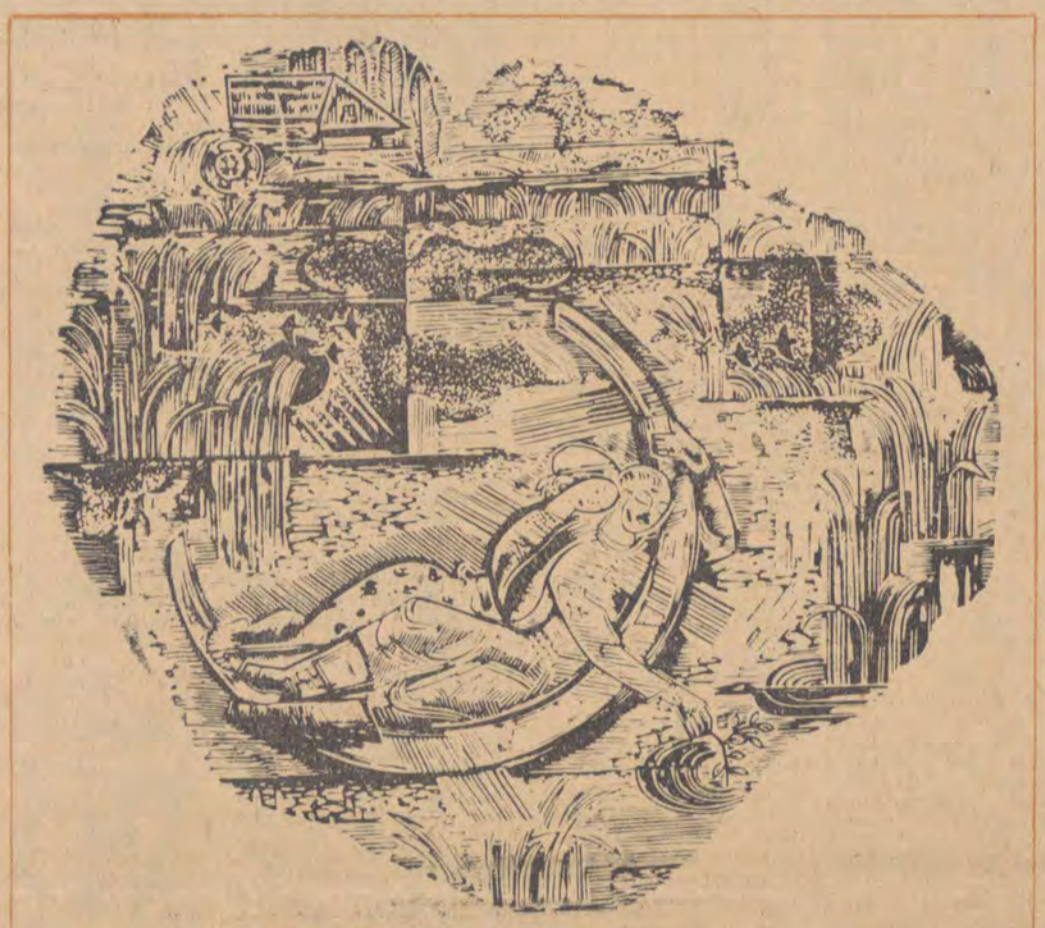

Mieczysław Jurgielewicz. Twardowski i Młynarzowa. Drzeworyt.

— Jak się panu podoba nowy statek? — spytał prezydent.

— Wspaniały! — powiedział Lions.

— Jeśli dobrze pójdzie, niebawem będzie pan milionerem.

— Zupełnie o tym nie myślę. Pomogę wam przy uruchomieniu linii, a potem wrócę...

— Cicho, majorze! Mikrofony są włączone.

Lions szedł i mówił do mikrofonu o statku. Chwalił. Był nim naprawdę zachwycony. Dokładnie sprawdzał wszystkie przyrządy, a potem wyjął z kieszeni kartkę i zaczął ją czytać: o korzyści z lotów międzyplanetarnych, o bogactwach innych planet, o postępie cywilizacji.

Przebiegając oczyma tekst przemówienia umilkł nagle. Oto co przeczytał:

„Nie wiem czy wypada w takiej uroczystej chwili mówić o sprawach osobistych, ale jestem pewien, że miło wam będzie, jeżeli podzielę się z wami wiadomością o moich zaręczynach z Moną Trent..."

Lions spojrzał ze złością w stronę brata i odszedł od mikrofonu. Wszedł do kabiny sterowniczej i zatrzasnął za sobą drzwi. Przeszedł przez laboratorium do magazynu. Tam się zatrzymał i pochylił się nad jedną ze skrzynek.

Do diabła z nimi, pomyślał. Jedynym ich pragnieniem jest zostać miliarderami. Zrobili z niego jakiegoś przeklętego bohatera, oderwali od przyjaciół, a za ich namową matka i Tom stali się intrygantami i teraz zmuszają go, by ożenił się z kobietą, której nie kocha.

Lions szedł z powrotem ponury i zdecydowany. Po drodze spotkał Sama Martina, kolegę, który zatrzymał się z szacunkiem w pewnej odległości od niego, zasalutował i powiedział:

— Za dziesięć minut odlatujemy, sir!

W programie uroczystości było przewidziane pożegnanie załogi przez Lionsa, który uścisnął astronautom dłonie i życzył im pomyślnego lotu, ale gdy już prawie wszyscy odeszli, Lions pozostał.

— Chodźmy, majorze — nawoływał prezydent. — Oni zaraz odlatują.

Lions skrzyżował ręce na piersi. Znów go usiłowano poganiać.

— Co się stało, drogi chłopcze? — zapytał ze zdziwieniem prezydent.

Lions wyjął z kieszeni promieniowy pistolet.

— Proszę wyjść, niech wszyscy opuszczą statek, wszyscy oprócz załogi.

Politycy i handlowcy pośpiesznie wyszli. Lions zatrzasnął drzwi i skierował pistolet w stronę załogi.

— Na miejsca! — krzyknął. — Lecę z wami. No, szybciej!

Astronauci wahali się chwilę, a potem zaczęli się do niego uśmiechać.

— Oczywiście — powiedział Sam Martin — nie mamy prawa pana zatrzymywać. Nie jesteśmy bohaterami.

— Przestańcie, chłopcy. Przecież znamy się wiele lat. Jestem takim jak i wy, lotnikiem. Nie jestem bohaterem.

Statek powoli posuwał się w stronę pasa startowego.

— Nie chcę się z panem sprzeczać, majorze — powiedział Sam Martin — ale samotny lot z Ziemi na Marsa i z powrotem jest naprawdę niezwykłym wyczynem. Człowiek po takiej podróży albo traci zmysły, albo zostaje bohaterem. Pan się do tego nie przyznaje, ale pan jest bohaterem. A teraz jest nas kilku — i pan jest z nami!

Znowu w kosmosie wraz z czterema starymi przyjaciółmi. Może na Marsie Lions znowu będzie tylko człowiekiem, a nie samotnym bohaterem.

Uśmiechając się Lions włożył rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki, w której znajdowała się figurka Laely. Odwrócił się od nich, bo nie chciał, by w oczach bohatera piloci zobaczyli łzy.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

NIE MA CZASU!

Niesłychana rzecz, co się z tym czasem wyprawia. Sto lat temu wymyślili eter, który miał wypełniać całą przestrzeń, niewypełnioną niczym innym. Czyli miał być czymś, czego nie ma, substancją, która nic nie waży, nie ma masy, zapachu, ciepłoty, twardości, a tak jak inne substancje przewodzi fale elektromagnetyczne. Skończyło się z eterem — zaczęło z czasem. Jest, czy nie ma? Za dużo go mamy, czy za mało?

Pośpiech jest przecież dominantą współczesnego życia. Spieszy się ten, kto ma mnóstwo zajęć i nie ma czasu na kontemplację. Wielotomowe powieści — sagi zostały wyparte przez cieniutkie ni to nowele, ni to opowieści, bo czytelnik nie ma czasu. „Kultura" wprawdzie nie skraca swych potężnych artykułasów raczej przeciwnie, ale piórem swego telewizyjnego felietonisty, Kosińskiego, dowodzi, że reportaże dziennikarskie są przeżytkiem, nikt ich nie czyta, gazetę przerzuca się na przystanku, wystarczy — zamiast reportażu — króciutka informacja. Szybciej, nie ma czasu. Z największych arcydzieł robi się wyciągi, bryki, komiksy; usłużna filozofia mass-mediów dorabia do tego procederu odpowiednie uzasadnienie, kto dziś ma czas na arcydzieło?

Wniosek więc, że jesteśmy coraz bardziej zajęci.

Jednocześnie co rusz to ktoś drze szaty, że w tym czy innym mieście nie tylko nie ma nocnego życia, ale nawet w dzień młodzież nie ma co robić i z nudów przewraca ławki w parkach. Całe tomy zapisuje się trwożnymi rozważaniami: co robić z wolnym czasem, czym zabawić rozprężniaczonych ludzi? Ustawowy dzień pracy na przestrzeni zaledwie półwiecza skrócił się prawie o jedną trzecią, będzie się jeszcze skracał. Nie palimy już — my, mieszczanie — w piecach i pod kuchnią, odpada noszenie węgla, rąbanie drzewa, wygarnianie popiołu, nie szorujemy podłóg — w kuchni leży gumolem, w pokoju plastyk uwalnia także od dawnej sobotniej froterki. Nie cerujemy skarpet, nie robimy na drutach, nie mocujemy się z balią, tarą i maglem, autobusy szybciej odstawiają nas z fabryki i biura do domu. Gdzie się podział czas, na litość boską, który przedtem był na to wszystko potrzebny, a jeszcze go zostawało tyle na „Sagę Rodu Forsytów" i na pisanie listów, i na spacer z dziećmi i na preferansa z aptekarzem?

Nie mówię o tych dziesiątkach czy nawet setkach tysięcy genialnych bumelantów, którzy nic absolutnie nie robiąc — potrafią wytworzyć dokoła siebie atmosferę wiecznego, nerwowego, podminowanego zapracowania i pośpiechu. Znam mnóstwo ludzi angażujących się całkowicie we wszystko co robią, ledwie już zipiących z prawdziwego pośpiechu; z nienadążania; z przemęczenia. Naprawdę nie mają czasu. To właśnie niejeden z nich zastanawia się, jak ludziom urządzić wolny czas. Nic z tego nie da się zrozumieć.

Olbrzymi postęp techniczny potęguje z dnia na dzień wydajność pracy ludzkiej. Wydajność — czyli ilość gotowego produktu na jednostkę czasu. Czyli coraz krótszy będzie niezbędny czas produkcji, czas pracy, dla otrzymania tych samych produktów. Coraz więcej czasu powinno zostawać człowiekowi na odpoczynek, albo dokładniej: na dowolne nim zadysponowanie. Jeśli ktoś woli — zamiast odpoczynku — dwudziestogodzinne twistowanie w zadymionym lokalu, niech sobie twistuje. Ktoś inny będzie się tymczasem wspinał na Mont Everest, kto inny — bił po twarzy kolegę w ogrodzonym sznurami kwadracie, jeszcze inny — malował smoki z ludzkimi głowami, latające nad Krynicą.

Będziemy mieć coraz więcej czasu na przyjemności. Więcej, a nie mniej! Dlaczegóż więc staramy się także i przyjemności streścić do samej nagiej pestki, zmechanizować, nadać im formę, pozwalającą zaledwie na polizanie tego i tamtego i jeszcze czegoś — w zwariowanym tempie, żeby zdążyć, bo nie ma czasu, żeby nie reportaż tylko migawka, nie książka tylko komiks, nie panorama tylko zygzak, nie krajobraz tylko strzałka nad kierownicą, nie pełen niuansów flirt tylko wulgarna chata z babką — bo nie ma czasu? Bo trzeba to załatwić jak najszybciej i zająć się...

Czym się w końcu zająć? O co do wielkiej Anielki chodzi? — ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 2496. IX.65. N-11